№ 12. Warszawa, dnia 12 (24) Marca 1883 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 1 k. 25**
Półrocznie . . . **rs. 2 k. 50**
Rocznie . . . . **rs. 5**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

NIEWIASTY KRESOWE.

Taki tytuł dał Dr. Antoni J. (Rolle) swej najnowszej książce. Poznajomienie się z tem dziełem będzie bardzo korzystnem pod każdym względem. Jest to bowiem dzieło, które i stroną artystyczną i wartością wewnętrzną zasługuje, byśmy je zaliczyli do najlepszych prac tego rodzaju.

Opowiadania historyczne, które od pewnego czasu coraz liczniejszych znajdują zwo'enników, mają przedewszystkiem tę zaletę, iż zaznajamiają czytających z dziejami ojczystemi, nie nużąc suchością wykładu. Głęboka znajomość dziejów przeoblekła się tu w szatę ponętną, której dziś przedewszystkiem w literaturze poszukują. Tak więc łączą autorowie opowiadań historycznych piękno z prawdą i tem oddają społeczeństwu wielką przysługę.

Autor „Niewiast kresowych" obrał sobie temat nader wdzięczny, a dla czytelników ciekawy. Życie bowiem niewiast kresowych mało dotąd było znane, a jednak mieści ono w sobie szczegóły niezmiernie ważne, odrębne od życia kobiet w głębi kraju osiadłych. Już to kresy wogóle odrębne wiodły życie. Zdala od cywilizacyi zachodniej, bliżej Wschodu, a nadewszystko w pośród ciągłych burz i zamieszek, musiało się życie na kresach wyrobić wyjątkowe.

Idąc za autorem „Niewiast kresowych" skreślimy tu pokrótce koleje życia tychże w ciągu półtrzecia wieku.

„Inaczej aniżeli w głębi kraju, płynęło to życie u ściany tatarskiej, kobieta tutaj przebywająca miała więcej niźli gdzieindziej swobody, prawo wprawdzie obowiązujące było dla niej takie same na Rusi jak i na Litwie, bo jak tu, tak i tam Statut litewski był kodeksem, do którego należało się stosować, ale inna rzecz prawo, a inna obyczaj. Tutaj na zagrożonem stanowisku, wypadało często białogłowie stawać w obronie ogniska domowego i w obronie własnego drobiazgu..."

Miękki obyczaj wniosła dopiero w te strony żona ks. Bazylego Ostrogskiego, Tarnowska z domu, spłynęło z nią sporo dworzan polskich, oni to powoli krzewić zaczęli w ziemi wołyńskiej ogładę, zamiłowanie do tańca, muzyki i strojów...

Kobiety osiadłe na placówkach w dzikie wysuniętych pola, nie miały najmniejszego o minstrelach i trubadurach pojęcia, dziad lirnik był jedynym śpiewakiem stepowym, przynosił on jednak ze sobą nie piosnki miłosne, ale legendy o dawnych bojach, czasem przestrogę o zbliżającem się niebezpieczeństwie, niekiedy ukrywał zdradę... podpatrywał, śledził, kędy słabe strony obwarowanego na prędce dworu, by je potem wskazać hajdamakom, albo innym ludziom swawolnym. Romans nie wyrastał na stepie, życie biegło chyżo, jutro nie należało do nikogo, było niepewniejszem niźli gdzieindziej...

Więc nie dziw, że w pośród takich warunków życie było twarde i surowe, że na zbytki i pieszczoty zachodu nie starczyło ani myśli, ani chęci, ani możności.

„Pobożność cechująca polskie niewiasty na kresach jakoś się czasu nie miała rozwinąć, obojętnie traktowano religię, to też nowatorstwo przeszczepiło się z taką łatwością, a głównymi jego propagatorkami były niewiasty..."

Warunki, w pośród jakich na kresach żyły kobiety, wyrabiały w nich energię prawie męzką, obojętność czy wytrwałość na niewygody i trudy, siłę nawet na odpór niebezpieczeństw. Niewiasta nieraz wybiegała z małżonkiem na czaty, uskuteczniała z nim wyprawy, sama stawała na czele zajazdów krwawą kończących się walką...

Energia kobiet dochodziła niekiedy aż do zuch-

walstwa, na jakie się nieraz i mężczyzna by nie zdobył. Lecz wina tu wielka mężczyzn samych, bo jak powiada autor „szanowaliśmy białogłowę o tyle, o ile nam siłą nietylko moralną, ale i fizyczną zaimponować mogła. Matrona rezolutna zaznawała więcej miru, łatwo znajdowała stronników, ogół patrzał pobłażliwie na jej wybryki. Młodą jednak dziewczynę traktowano z pewnem lekceważeniem, po kozacku trochę, a z niewiasty nieumiejącej sobie poradzić, często gęsto w poswarce mężczyzna zdzierał podwikę (czepiec), choć to uważano za największą obrazę na Rusi...” Z drugiej strony i panieneczki samowolnie postępowały, wybierały sobie mężów po myśli, nie bardzo się powodując radami i przestrogami starszych. A jeżeli ten starszy miał przewagę i zmusił dziewczynę do tego, że stanęła na ślubnym kobiercu z niemiłym sercu, to miała ona jeszcze i po ślubie możność zdobycia swobody, zostawał jej rozwód, (rozpust) w formę tylko prawną ubrane wieczne z mężem rozstanie i możność zawarcia nowego już po myśli związku. Rozwody były powszednim zjawiskiem.

Jeżeli Kościół robił trudności, para niefortunnie dobrana w sądzie kończyła rzecz samą, niekiedy nawet pośrednictwa sądu nie używano, małżonkowie wobec świadków wydawali sobie wzajemne akta „rozstania czy rozpustu” i na tem koniec.

Wypadków takich bywało bardzo wiele.

Łatwość osiągnięcia rozwodów pociągała za sobą demoralizacyą, o której wzmianki przedarły się nawet do aktów urzędowych, nie bacząc na to, że akta regestrowały je z wielką niechęcią. Wprawdzie prawo surowo karało przeniewierstwo małżeńskie, surowiej jeszcze rozpasanie białogłowy niezwiązanej sakramentem, ale prawo widocznie było pisane dla ciemnego gminu, u góry bezkarnie można było grzeszyć, majątek bowiem i stosunki zapewniały pobłażanie.

Te zboczenia złe były, lecz samodzielność i hart kobiet miały także i zalety. Ciągłe niepokoje, grożące niewolą tatarską wyrobiły ten hart. Dzięki temu wytrzymywały niewiasty kresowe nieraz długoletnią niewolę.

Zabierano w jasyr tysiącami, a tam gorzka dola czekała niewolników. Niewiasta, jeśli młoda, zostawiona sama sobie, częstokroć zostawała żoną swego pana... choć i takie po owdowieniu, z licznym pocztem dziatwy o wschodnich płaskich twarzach, dostawały się do ojczyzny, tak drogiem było dla nich rodzinnej ziemi wspomnienie.

Takie były stosunki do XVII wieku. Teraz nastąpiły zmiany znaczne. Ruś spolszczała zupełnie, wślad za tem zaczyna się rozwielmożniać cywilizacya zachodnia. Ogładza się życie, wykwintne wdrażają się zwyczaje, wreszcie zaczyna się panowanie zbytku. Wraz z temi zmianami zewnętrznemi idą wewnętrzne. Kobiety nabierając ogłady, zarzucają dawne rycerskie przyzwyczajenia. Z kolei przychodzi zamiłowanie w polityce, *mądrochę*, modelującą się na wzór kasztelanowej Kamieńskiej, spotkać można w każdym niemal powiecie i to nie jedną. Biorą one udział w konferencyach, w obradach sejmikowych, w zjazdach gospodarskich, przedostają się w końcu do trybunałów, do sejmu.. umizgają się często do przywódzców, także gwoli potrzeb dyplomacyi zaściankowej, słowem rej wodzą w kraju.

Oto i koniec wstępu. Jest on bezsprzecznie doskonałą charakterystyką czasu i ludu. Autor rysuje wprawnie i wyraźnemi kontury, nadaje swym obrazom za podstawę najgruntowniejsze badania historyczne.

Po takim wstępie, przystępuje autor do kreślenia sześciu sylwetek niewiast kresowych. Pierwsze opowiadanie sięga połowy XVI wieku, ostatnie kończy się z wiekiem XVIII. Tak więc na przykładach sprawdza autor to, co na wstępie ogólnie powiedział.

Bohaterkami tych opowiadań są niewiasty kresowe, lecz nie absorbują one zupełnie uwagi autora, przeciwnie znajduje on dość czasu i miejsca, na opowiadanie dziejów tej doby, w której ta lub owa bohaterka żyła. Rozwija więc poglądy historyczne, opowiada zdarzenia często bardzo dla dziejów ważne i dopiero na tem tle rysuje główną postać. Opowiadania historyczne z dziejów kresów są ulubionym przedmiotem D-ra Antoniego J. To też poświęca im swe pióro z całem zamiłowaniem, a co z tego wynika, obrazy przezeń malowane są pełne życia, malowniczości i światła.

Bohaterką pierwszego opowiadania jest Hanna z książąt Sokalskich Borzobohata Krasieńska, typ kobiety pełnej energii, w której nie ustępowała żadnemu z mężczyzn. W jej ręku spoczywało gospodarstwo domowe, lecz także i na jej głowie była troska o zabezpieczenie mienia. Czasy były burzliwe. Nietylko wróg straszny groził co chwila życiu i mieniu, lecz i najbliżsi sąsiedzi nie gardzili grabieżą i krzywdą.

Ztąd wyradzała się buta, ztąd energia posunięta nieraz aż do zuchwalstwa. Tacy byli niemal wszyscy. Dobrze autor powiada, że „potężny i energiczny Stefan Batory nie był w stanie poskromić krnąbrnej swawoli niektórych ziemian, ba nawet ziemianek wołyńskich.” Do tych ostatnich należała Krasieńska.

Dbała o całość swych włości, krzątająca się około przysporzenia majątku, nie gardziła żadnym środkiem i nie rzadko urządzała na przeciwników napady i zajazdy. Rabowała, paliła jakby Tatar jaki, byle tylko postawić na swojem. O niej to mówi autor, iż więcej mogła na kresach niż sam król Batory.

Hannie Krasieńskiej obce były miękkie uczucia jak były obce innym współczesnym paniom ukrainnym.

„Ideały niewieście powszechne u nas w XVIII stuleciu, wytworzyły się pod wpływem czambułów tatarskich, jasyru na dalekim wschodzie, a przedewszystkiem jako następstwo zawieruchy kozackiej. Białe szaty anioła, strzegącego domowego ogniska utkały nieszczęścia i smutne losu koleje, nie odrazu kobieta kresowa stanęła na piedestale, wprzódy wykuć go należało z ofiarności bez granic a wykuty obmyć łzami miłości i poświęcenia.”

Drugą bohaterką jest Teofila Chmielecka. I ta nie ustępowała poprzedniej. Mąż jej ciągle zajęty wojną, jeden z najgorliwszych obrońców kresowych, więc żona musiała myśléć o wszystkiem. Radziła też sobie energicznie, nie szczędząc nikogo, zdobywając przemocą, czego jej nie chciano dać dobrowolnie. Ogień i miecz były w jej ręku bronią powszednią.

Zofia z Korabczewskich primo voto ks. Rożyńska, secundo voto Chodkiewiczowa, kasztelanowa wileńska, nie inną też była. Wybryki jej dochodziły do niebywałych rozmiarów. Oto jak autor opisuje jeden z jej napadów:

„Zamek i miasto wielką siłą zdobywszy, w miasteczku tem i zamku wszystek lud bez litości, bez strachu bożego pobito, postrzelano, posiekano, a zamek i miasteczko zrabowane barbarzyńskim obyczajem, spalono do szczętu i zrównano z ziemią. Resztę mieszkańców pozostałych przy życiu, uprowadziła księżna z sobą do Powołoczy.”

Za to następny obraz jest pełen najszlachetniejszych rysów. Mówi w nim autor o Helenie z Krasickich Niemieryczowej. Postać to biała, jakby anielska. Helena wychowana wśród innych ludzi i innego życia, bo w Dubiecku i w Warszawie, znalazła się po zamążpójściu na kresach dzikich samotna, bez towarzystwa i w dodatku prawie w niedostatku. Los jej był ciężkim. Wzięta w jasyr, musiała cierpiéć wiele. Miłość macierzyńska utrzymywała ją przy życiu. Dopiero dnie życia ostatnie przyniosły tej męczennicy spokój.

Z kolei wybiera autor postać z innej sfery. Anna z Meleniewskich Błocka, jest szlachcianką zaściankową. Kobieta to silna i wytrwała, a choć prosta, umiała czynami dowieść, że najszlachetniejsze uczucia nie były jej obce. Idzie za mężem, wziętym do niewoli, aż do Konstantynopola, pracuje ciężko i składa grosz do grosza, aby go z niewoli wykupić i wreszcie osiąga cel upragniony.

Ostatnie wreszcie opowiadanie przenosi nas w inne czasy. Rzecz dzieje się w drugiej połowie XVIII stulecia. Anna z Grabianków Raciborowska jest już kobietą wychowaną w zupełnie odmiennych warunkach. Dom jej rodziców był ogniskiem zaściankowej polityki, o jakiej powyżej wspominaliśmy. Nie dziw więc, że i córka tym duchem się przejęła. Opowiadanie osnute jest na tle politycznych dążeń i marzeń ostatnich lat ubiegłego wieku. Postać Anny bierna, ale ciekawa jako kontrast wobec poprzedniczek. Smutne to były dnie, choć nie krwawiły ich napady tatarskie... Inne tu już zapatrywania. „Dzieje Anny wyobrażają ideały i pragnienia kobiety polskiej w tragicznej epoce na złomie dwóch wieków ostatnich.”

Ed...d.

Zdradzona.

Z rumuńskich „Cantice si Plangeri”. (*)

Zwiędły już listki co niegdyś w warkoczach,
Barwą nadziei główkę jej stroiły,
I wyschły łezki co w jej czarnych oczach,
Lśniąc bez ustanku — zachwyty budziły.

Kraśne jagody pobladły przedwcześnie,
A taka chmura jej czoło pokryła,
Jak gdyby nigdy na jawie, ni we śnie,
Nawet na chwilę szczęśliwą nie była.

Lecz było szczęście! Pomnę dni niemało,
Kiedy, wśród rajskich upojeń bez końca,
Biednemu sercu jeszcze się zdawało,
Że najszczęśliwszem jest sercem z pod słońca!

Zwiędły już listki, a z oczów surowych,
Łza już od dawna nie spływa, nie spada,
Tylko czasami, wśród rozmów jałowych,
Szepczą jej usta: zdrada, zdrada, zdrada!...

Henryk Kwiatkowski.

(*) Pieśni i żale.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

W końcu pierwszej ćwierci bieżącego wieku, przez jedną z rogatek z Pragi do Warszawy prowadzących, wjechał wóz parokonny, dobrze naładowany.

Mieściły się w nim kufry, pudełka, worki i zawiniątka, z samego końca wyglądały łby gęsi zaszytych w worki, na przodzie kojce z kurami, a w środku, między tem wodnem i ziemnem ptactwem, siedział chłopczyna piętnastoletni ciekawie rozglądający się w koło. Z pozoru niczem się szczególnem nie odznaczał: ubranie miał skromne, jakiś tołubek z ciemnego sieraczku, czapka graniasta z wytartym barankiem, włosy płowe, rysy bardzo zwyczajne, twarz troszkę ospowatą, postać całą przygarbioną, jedne tylko oczy jaśniały jakimś blaskiem niezwykłym i za każdem ich poruszeniem czoło pokrywało się zmarszczkami, dowodzącemi, że dusza nie śpi a głowa pracuje.

Gdy po odbyciu na rogatkach formalności paszportowej i rewizyjnej, która każdemu kością stawała w gardle, żyd furman patrząc na cały pakunek z taką starannością przy wyjeździe ułożony, rozrzucony bez ładu i składu, podrapał się, coś zamamrotał i ciężko westchnąwszy zabrał się przy pomocy młodego swego towarzysza do uporządkowania na wozie wyrzuconego ładunku.

Robota poszła żwawo i w pół godziny później wóz toczył się ulicami Pragi, pilnie strzeżony, aby coś się z niego nie uroniło.

Był to sam koniec sierpnia: słońce już się chyliło ku zachodowi, furman zatrzymał się przed jednym z domów zajezdnych i powiedział, że tu będzie szabasować bo w Warszawie stajenne bardzo drogie.

— Pan Staś jeźli chce może iść do miasta, dodał. Droga niemylna, prosto przez most, potem w górę Bednarską ulicą i zaraz Krakowskie przedmieście, a tam i mały berbeć pokaże gdzie iść dalej. Co to wielkiego! Warszawa choc las ludzie jednak w nim nie giną i dają sobie radę, to i pan Staś sobie poradzi.

— Masz słuszność Mośku, poradzę sobie—odrzekł Staś i zaraz zabrał się do wydobycia tłomoczka i wyjęcia z niego potrzebnych rzeczy do ubrania. Zapasik w nim był bardzo szczupły, z niezbędnych tylko złożony drobiazgów, z dosyć grubego przygotowanych materyału. Gdy jednak Staś umyty i uczesany, przywdział na siebie mundurek szkolny z granatowego sukna, obszyty w kołnierzu i rękawach białą tasiemką, choć trochę wytarty ale nie zniszczony i nie poplamiony, wyglądał w nim wcale przyzwoicie, tak, że Mosiek cmoknął ustami i pokręciwszy głową, zawołał:

— Aj! rarytna rzecz! pan Staś tak wygląda jakby w Warszawie urodzony. Będzie wszystko *git*, już ja sobie o pana Stasia głowy psuć nie będę. Za sześć, za dziesięć lat, to tak ludzie będą panu Stasiowi czapkować, jak naszemu dziedzicowi.

Staś uśmiechnął się, przepowiednia spodobała mu się, a Mosiek poklepawszy go po ramieniu wyprawił w drogę, jeszcze raz powtórzywszy kierunek, w jakim ma postępować.

Pomimo jednak pochwał Mośka i przyzwoitej powierzchowności, Staś idąc wyglądał dosyć gapiowato. Ruchy miał niezgrabne, był nieśmiały, przystawał, oglądał się na wszystkie strony, często z ustami jak wrota otwartemi, każdemu ustępował, potrącał o przechodniów, a gdy wreszcie wydobył się na Krakowskie przedmieście, długo wahał się kogo zaczepić o objaśnienie w którą stronę się obrócić.

Po licznych wreszcie zapytaniach stanął przed jedną z kamienic, numer jej zgadzał się z adresem listu jaki miał z sobą. Stróż wskazał mu schody na drugie piętro. Drzwi otworzył mu jakiś średniego wieku mężczyzna, bez zwierzchniego ubrania, o grubych rysach twarzy, łysy i ponurem spojrzeniu. Nie wpuszczając go do przedpokoju zapytał szorstko, jakby przybysza chciał zrzucić ze schodów:

— A co to takiego?

— Powiedziano mi, że tu mieszka pan Sędzia Mateusz Stroński — odrzekł Staś nieśmiało zdejmując czapkę — pragnąłby się z nim zobaczyć.

— A tak, ja nim jestem i cóż tam nowego?

Staś w milczeniu podał mu list.

— Od kogóż to? — zapytał Sędzia.

— Od księdza kanonika ze Skulczyna.

— Ze Skulczyna! — powtórzył p. Mateusz. — Ależ ja ani Skulczyna, ani kanonika z niego nie znam.

List jednak odebrał, zmarszczył brwi i wezwawszy za sobą Stanisława, wprowadził go do pokoju stanowiącego bawialnię, za którym znajdował się mały pokoik na sypialnię przeznaczony.

Umeblowanie było skromne, ale czyste i chędogę, posadzki starannie ufroterowane, ściany obwieszone obrazami i lustrami, okna przystrojone firankami a w nich stały doniczki z kwiatami. Drzwi do sypialni kryły kotary z grubej materyi z sutem przewiązaniem spadającem do samej ziemi. Chociaż to wszystko nie przekraczało granic skromnego umeblowania, na Stasiu jednak zrobiło wielkie wrażenie. Zatrzymał się na środku bawialni nie wiedząc co ma z sobą zrobić. Pan Mateusz tymczasem zasiadłszy w sypialni przy biórku mruczał do siebie:

— Jakiś nowy kłopot, czysto dyabeł się wmieszał nadając mi nazwę Strońskiego.

Staś na szczęście nie dosłyszał wyrazów, tylko z tonu ich wymówienia domyślił się, że pan Mateusz był niezadowolony. Stał więc bez poruszenia jak przykuty do miejsca. Sędzia w połowie obrócony do bawialni, zajął się czytaniem listu. Staś wlepił w niego oczy i z tłumioną radością spostrzegł, że w miarę czytania, chmura twarz jego okrywająca zmniejszała się, rozpraszała, wreszcie znikła zupełnie i śladu po sobie nie zostawiając.

Młodzieniec odetchnął swobodniej, ale nie porzucił swego stanowiska.

— I czegóż tak stoisz jak drogowskaz na rozstaju? — zapytał nagle Sędzia. — Chodźno tu bliżej i siadaj, pogadamy z sobą.

Staś był posłuszny jak maryonetka w teatrzyku, której ruchy pociągnięcie sznurka nadaje. Sędzia mimowolnie uśmiechnął się zobaczywszy, że usiadł wyprostowany na samym brzegu krzesełka.

— Jakiś potulny chłopczyna — pomyślał sobie, a po chwilce zadumy wpatrując się bacznie w młodzieńca, odezwał się głośno:

— Nazywasz się Stanisław Stroński?

— Tak jest, proszę pana Sędziego.

— Masz zatem jedno ze mną nazwisko, a choć zapewne rodziny nasze z jednej wychodzą wioski szlacheckiej Stronczynem zwanej, choć może łączy nas jakie dalekie krewieństwo, jesteśmy jednak sobie zupełnie obcy, bez żadnych wzajemnych dla siebie obowiązków.

— Wiem o tem panie Sędzio — odrzekł Staś pomału przychodząc do siebie.

— To dobrze, to bardzo dobrze — odparł Sędzia — ta świadomość cieszy mnie, bo wszystkim Strońskim co się do mnie dotąd w różnych sprawach i interesach zgłaszali, gwałtem ubrdało się w głowinach, że jestem albo ich stryjem, albo bratem.

— Wiem i o tem także, panie Sędzio...

— I to wiesz także? — przerwał p. Mateusz z zadziwieniem.

— Tak, panie Sędzio — odrzekł Staś coraz się bardziej ośmielając. — Ksiądz kanonik powiedział mi, że krewieństwa żadnego pomiędzy nami nie ma, że jeżeli mi daje rekomendacyą do pana Sędziego, to nie jako do krewnego, ale jako do człowieka rozumnego i poczciwego, którego rada więcej zaważy jak najbliższe nawet krewieństwo choćby z jaśnie oświeconym.

— Hm! hm! — mruknął p. Mateusz i z ukosa spojrzał na Stasia, którego twarz wyjaśniona samą błyszczała prawdą i szczerością. Zrobiło to na nim miłe wrażenie. Po chwili odezwał się:

— Pisze mi tu ksiądz kanonik, że jesteś sierotą bez ojca i matki... wielkie to nieszczęście ale bywają gorsze, gdy się jest przytem kaleką lub niedołęgą. Nie jesteś ani jednym ani drugim, zdrowia ci i siły Bóg nie poskąpił a i głowa jakoś nie do kapelusza jedynie. Skarby to wielkie, skarby największe...

— Codziennie za nie Bogu dziękuję — odezwał się Staś.

— To dobrze, to bardzo dobrze. Pisze mi dalej wasz kanonik, że skończyłeś cztery klasy wydziałowe w Łukowie i że pragniesz przenieść się do szkół wojewódzkich w Warszawie, aby przejść potem do uniwersytetu. Zamiar piękny, ale powiedz mi jakie masz środki do jego wykonania?

— Żadnych panie Sędzio — odrzekł Staś a p. Mateusz zerwał się i znów siadając wrzasnął:

— A czyż to sądzisz, że w Warszawie powietrzem żyją czy co? Czy myślisz, że w niej to jak u was na wsi, co byle wleźć w marchew, groch, rzepę, albo do sadu, już można najeść się po uszy? Ho! ho! bratku, w Warszawie życie drogie, zarobek trudny a nauki darmo nie dają. A to czyste skaranie z temi gamoniami wiejskiemi, którym się zdaje, że w Warszawie co kamienica to garkuchnia bezpłatna, a ulice bochnami chleba brukowane.

Staś słuchał, patrzył ale nic nie mówił i dopiero gdy się p. Mateusz dostatecznie wygadawszy zamilkł i wysapał, odezwał się nieśmiało.

— Wiem to wszystko panie sędzio, ksiądz kanonik też poddał mi myśl, którą radbym przedstawić z prośbą o radę.

— Myśl? to bardzo dobrze, kto myślą się rządzi to rzadko błądzi. Myśl to córka rozumu a silna wola rodzona jego siostrzyca. Cóż to więc masz za myśl co w niej chcesz zasięgnąć mojej rady?

— Myśl ta może dziwaczną wyda się panu Sędziemu, odrzekł Staś spuszczając oczy, mam też co do niej pewną wątpliwość i dlatego...

— I dlatego, i dlatego! przerwał p. Mateusz niecierpliwie. Co tu słów niepotrzebnych marnujących czas jakby go jak bułkę w kramie kupić można. Gadaj krótko węzławato, bez zboczeń

mitręgi a żwawo i jasno bo w dyplomacyą bawić się nie lubię.

Staś umilkł, zarumienił się i bezmyślnie podniósł z siedzenia.

— Hm! hm! — mruknął Sędzia wpatrując się w chłopczynę. — Przestraszyłeś się moją gwałtownością?

— Tak, panie Sędzio, potwierdził Staś z oczami ku ziemi spuszczonemi—.Przepraszam bardzo za moją nieuwagę, ale kiedy mi pan Sędzia odmawia porady, to nie mam co tu robić... odejdę więc...

Pan Mateusz zmiękł nagle, na twarzy jego odbiło się pewne współczucie.

Staś stał przed nim miętosząc czapkę w ręku, rysy twarzy jego poruszały się niespokojnie, świadcząc o wewnętrznem wzburzeniu usilnie tajonem.

— Odejdę, odejdę! — po chwili powtórzył pan Mateusz. — Łatwo to powiedzieć, ale nie znając Warszawy ani w niej nikogo, cóż zrobisz z sobą?

— Nie wiem jeszcze panie Sędzio, namyślę się...

— No, no, udobruchaj się ty zuchwały szaleńcze. Siadaj ot i powiedz tę ową myśl którą ci podsunął wasz ksiądz kanonik. Musi to być bardzo światły i zacny kapłan?

— O! tak proszę pana Sędziego — odrzekł Staś z serdecznem uczuciem, ośmielony łagodnością mowy p. Mateusza. — On to po śmierci ojca przytulił mnie do siebie, on to zajął się spieniężeniem chudoby pozostałej po nim i zebraną ztąd kwotę złotych 2,500 wynoszącą...

— A! to masz fundusz na swe utrzymanie, przerwał p. Mateusz, dlaczego mi tego odrazu nie powiedziałeś?

— Ksiądz kanonik powiedział, że pieniądze te powinny zostać nietknięte, a ja winienem o własnej pracy przebywać dalszą naukę.

— O pracy, ale jakiej? — zapytał p. Mateusz. — Czyż to w Warszawie tak o pracę łatwo jak u was w polu o skowronki, albo o muchy w oborze?

— Ksiądz kanonik powiedział mi — odezwał się Staś, spoglądając koleją to na czapkę trzymaną w ręku to na p. Mateusza — że w Warszawie są szkoły utrzymywane przez księży Pijarów i że w nich... że w nich...

— No, mów dalej, cóż w nich? — zapytał pan Mateusz widząc, że Staś zamilkł.

— Lękam się, czy się pan Sędzia nie rozgniewa.

— Cóż znowu, mów śmiało.

— Podobno w nich można się pomieścić, przyciszonym głosem odrzekł chłopczyna, przyjmując obowiązki... posługacza klasztornego.

Potem jeszcze ciszej dodał:

— A ja gotów jestem to zrobić. Mając utrzymanie, życie i naukę zapewnioną, czegoż więcej żądać mogę?

— Zapewne, zapewne, to myśl wyborna — odrzekł p. Mateusz.

— Więc pan Sędzia pochwala ją! — zawołał Staś z radością zrywając się z siedzenia.

— Cóż to tak cię dziwi? I cóż w tem może być złego?

Staś zadziwiony patrzał w pana Mateusza, jakby nie dowierzał temu co usłyszał.

— I ja tak sądzę — odezwał się wreszcie — że to nie może nic być złego, ale przy naszym kanoniku jest zakrystyan, człowiek bardzo pobożny i poczciwy, który powiedział, że zostać w konwikcie posługaczem bez sukienki klasztornej, to hańba dla całego rodu Strońskich, że jak się ci o tem dowiedzą, to się mnie wyrzekną jako intruza i odczepieńca, który kala szlachetną pamięć swoich przodków. Byłem więc w obawie jak zamiar mój przyjmie pan Sędzia...

— Jak przyjmę? Oto — przerwał p. Mateusz— powiedzeniem ci, że wszyscy Strońscy są głupcy wierutni a wasz zakrystyan osieł dubeltowy. Im się zdaje, że ludzkość to jak wóz ugrzęzły w bagnie na wieczność całą. Poganie pokłon bili Jowiszowi i całej zgrai bogów przez siebie wymyślonych, oni oddają cześć mitrze, koronie i tytułowi! Szaleńcy! po stokroć szaleńcy! Jam się z nimi zdawna już rozbratał. Byłem ciemnym jak oni, alem przewidział, dziś zdrowemi na świat spoglądam oczami i widzę, że albo muszą wydobyć się z więzów pychy i głupstwa, albo w więzach tych zginąć jak pupka nie mogąca zostać motylem.

Gdy p. Mateusz to mówił, twarz jego niezwykłym pałała ożywieniem, gestykulował z energią, wymawiał słowa z zapałem niemal do fanatyzmu dochodzącym, policzki mu drżały, oczy błyszczały a Staś słuchał, nie mogąc dać sobie jasnego pojęcia o tem co widział i słyszał. Pierwszy raz zdarzyło mu się spotkać z myślami tak dla niego obcemi. Chwytał je też chciwie, więził w pamięci i czuł jak mu się w głowie rozkładają, burzą, migocą, jak iskierki wielki pożar zapowiadające.

(*D. c. n.)*

Korespondencya z Londynu.

Zagrażająca społeczeństwu ciągle zwiększająca się liczba zbrodniarzy i włóczęgów, nawet w pośród dzieci. — Towarzystwo wstrzemięźliwości. — Towarzystwo psychiczne. — Posąg Carlyle'a. — Zamierzona kanonizacya Tomasza Morus. — Teorya Symes'a. — Utwory dramatyczne Tennyson'a.

(Dokończenie.)

Już jedno pokolenie wymarło od chwili, gdy Semes, ożywiony rzadką wytrwałością i śmiałością, przedstawił Akademii francuzkiej swoją teoryą domagając się jej uznania; ale odpowiedziano mu, że niepodobna brać jej na seryo ani nawet składać o niej urzędowego sprawozdania. A jednak obecnie p. Howgate, podnosi znowu myśl przedsięwzięcia wyprawy z tymże celem i projekt swój przedstawił uczonym do rozpatrzenia.

Komendant Nares, który z polecenia rządu angielskiego, odbył ostatnią wyprawę podbiegunową, zaprzecza najzupełniej, aby w miarę posuwania się ku Północy, temperatura stawała się łagodniejszą, kiedy znowu amerykańscy komendanci, Kane i Hale twierdzą przeciwnie. Ross, kapitan angielski podaje także, iż istnieją tam ciepłe wiatry, wiejące od północy, a Parry, opisując dzieje trzeciej swojej podróży, mówi: iż nietylko dawał się uczuć powiew wiosennego wiatru, ale temperatura tak była łagodną, iż słońce roztapiało smołę, zapełniającą szczeliny desek okrętowych, roje owadów unosiło się nad jego pokładem, a lód tak zmiękł, iż nie można było chodzić po nim. Kapitan Hale dopiero wróciwszy z wyprawy poznał teoryę Symes'a i nie przestawał utrzymywać: iż gdyby pierwej była mu znaną, byłby najniezawodniej dotarł, aż do bieguna, gdyż znajdował się już tylko o 600 mil od miejsca wskazanego przez Symes'a jako punkt w którym zaczyna się nieznana ziemia, oraz ów słynny otwór podbiegunowy, znany pod nazwą *Symes-Hole* i mającej prowadzić do rozległej płaszczyzny z głębi kuli ziemskiej, oświetlonej i ogrzanej odbiciem promieni słonecznych. Tam chronią się zwierzęta podczas zimy południowej, tam rosną nieznane kwiaty i owoce; tam spotkałoby się istoty całkiem odmiennych od naszych kształtów i zwyczajów a może nawet ludzi jak najzupełniej różniących się od zamieszkałych na powierzchni ziemi. To istnienie dwóch otworów przy dwóch biegunach, jakich, według Symes'a, wymaga koniecznie planetarny układ naszej kuli ziemskiej, opanowało wyobraźnię kilku uczonych, i jakkolwiek nie wierzą jeszcze w nieomylność jego systemu, ale nie śmieją się z niego, a to już wiele znaczy.

Ze wszystkich gałęzi tegoczesnego piśmiennictwa angielskiego, najuboższym jest dział dramatyczny. W teatrach przedstawiają najwięcej sztuki dawniejsze lub *przerabiane* z francuzkiego, nowych znakomitszych bardzo mało. Nawet sławny Tennyson, ten poeta uwieńczony, narodowy, tak wielbiony przez naród cały i wysoko ceniony przez dwór, nie ma szczęście ilekroć zapragnie laurów scenicznych. Już dwa jego dramata „Królowa Marya” i „Czara” tylko wybornej grze Irwing'a i miss Bateman, zawdzięczały jakie takie powodzenie, ale obecnie wystąpił z *Dramatem wiejskim* tak nędznym i pozbawionym nietylko wszelkiej idei moralnej, ale nawet tak wymaganej od tutejszej publiczności przyzwoitości, iż zaledwie dozwolono dokończyć przedstawienia. Oto w krótkości treść dramatu:

Młody student uniwersytetu uwodzi córkę poczciwego fermiera, należy on do tej nowej szkoły filozoficznej, w nic nie wierzącej i zaprzeczającej wszystkiemu z wyjątkiem zmysłowych rozkoszy. Z zasady nie chce zaślubić swej ofiary i opuszcza ją rzucając na łup hańby i rozpaczy. Nieszczęśliwa Ewa ucieka i wszyscy są przekonani, że odebrała sobie życie. Po upływie lat sześciu, uwodziciel przybywa znów do fermy, ale pod innem nazwiskiej. Poznaje młodszą siostrę Ewy, która wydaje mu się stokroć piękniejszą od zmarłej jego ofiary. Potrafił pozyskać serce dziewczęcia i tym razem nie wydrwiwając już i nie szydząc z małżeństwa, zamierza ją zaślubić, jako *honorowe zadośćuczynienie* dla tej, którą zgubił i przywiódł do samobójstwa. Dziwaczny ten pomysł bardzo niepodobał się publiczności, która słuchała dyalogów z ironicznym śmiechem i dojmującemi drwinkami. Ale Ewa nie umarła, zacne zakonnice odprowadzają ją do fermy — i przybywa do niej w samą porę, aby usłyszeć przysięgi miłosne jakie sprawca jej zguby składa jej siostrze. To już rzeczywiście zadaje jej cios śmiertelny. Pada martwa u stóp siostry, zaledwie mając czas oznajmić Dorze, że narzeczony jej, Harold, jest właśnie owym Edgarem, sprawcą jej nieszczęścia i hańby całej rodziny.

Pomimo wybornej gry artystów, sztuka upadła, publiczność wydała nieodwołalny wyrok: że jakkolwiek wielki poeta, Tennyson pozbawiony jest talentu dramatycznego, dla sceny pisać nie powinien.

ODCZYTY

NA RZECZ OSAD ROLNYCH.

II.

Czwarty i piąty z kolei odczyt, przypadł w udziale p. *A. Święcickiemu*, który zatytułował rzecz swą: „Z angielskiego parnasu”. Temat to rozległy, niekrępujący bynajmniej prelegenta. To też p. Święcicki ułatwił sobie wielce pracę, rzucając kilka uwag ogólnych o poezyi angielskiej, zastanowił się nad utworami Wardswortha, Byrona i Shellaja, poczem przystąpił wprost do najnowszego poety angielskiego, *Alfreda Tennysona*. Nie jest on literalnie biorąc najnowszym, gdyż działalność literacką rozpoczął około roku 1830, lecz nazwaliśmy go tak dla tego, że w *najnowszej* szkole poezyi angielskiej zajmuje najwybitniejsze stanowisko i jest twórcą tej szkoły.

Poecie temu poświęcił pan Święcicki połowę pierwszej i całą drugą prelekcyę, rozbierając jego utwory bardzo szczegółowo. Wykład był gładki, miejscami nawet świetny, lecz wartość jego naukowa mała, znaczenie przeważnie informacyjne.

Mówiąc o utworach Tennysona i chcąc słuchaczy z nimi zapoznać dokładnie, streszczał je prelegent, tłomacząc niejednokrotnie znaczne nawet ustępy. Nie możemy tu czytelnikom wszystkiego powtarzać, lecz zwrócimy uwagę na jedno dzieło angielskiego poety. Jest niem „Księżniczka”, dla nas z tego względu ciekawa, że poeta traktuje w niej bardzo dowcipnie sprawę emancypacyi kobiet.

Księżniczka jest piękną i jako taka słusznie może reprezentować nadobniejszą połowę społeczeństwa. Lecz księżniczka nie chce nic słyszeć o tem, by jej ród był tylko „połową”, pragnie emancypacyi i podrzekomej przewagi mężczyzn, przysięga że zamiaru swego dopnie, a w szeregu wyemancypowanych, wyzwolonych sama staje pierwsza.

Dla dopięcia celu zakłada księżniczka akademią dla kobiet, stanowi surowe przepisy, zabraniające jakichkolwiek stosunków z brzydką połową rodu ludzkiego, sama daje najlepszy przykład abnegacyi, bo zrzeka się małżeństwa z możnym a pięknym królewiczem. Emancypacya więc na najlepszej jest drodze, na drodze zdającej się wieźć do pewnego zwycięztwa.

Lecz jeśli księżniczka zrzekła się małżeństwa, to jeszcze nie dowód wygranej, królewicz nie myśli zrzec się pięknej narzeczonej. Chce więc dopiąć celu fortelem. Przybiera sobie towarzysza, przebierają się za kobiety i dostają się do akademii. Księżniczka nie domyśla się niczego, chociaż ogromny wzrost księcia i towarzysza jego budzi prawie podziw. Chciało nieszczęście, że towarzysz księcia podpiwszy sobie zdradza podstęp. Księżniczka oburzona nietylko że nic o pojednaniu nie chce słyszeć, lecz na domiar złego wytacza wojnę. Los szczęsny na jej się przechyla stronę. Królewicz ranny znajduje się na pobojowisku. Zacięta jego przeciwniczka zdjęta litością każe go zabrać do swego zamku i sama rannego pielęgnuje.

Czego nie zdobył rycerz zakuty w stal, zdobywa cierpiący jeniec. Księżniczka oddaje królewiczowi serce i rękę.

Wtedy dopiero zastanawia się nad zasadą emancypacyi kobiet. Miłości potrzeba było, aby jej wytłomaczyć, że ani mężczyźni, ani kobiety nie żyją na to by się wzajemnie gnębić i nienawidzić, lecz aby się dopełniać, kochać i pomagać sobie w pracy dobrej, pożytecznej.

Po „Księżniczce” streścił prelegent inne dzieła Tennysona, wykazując w nich niezmierną prostotę, wdzięk i poezyą. Poeta umie efektami bardzo zwykłemi, niewyszukanemi wywoływać wrażenia silne i długotrwałe. Pod tym względem utwór „Enoch Arden” zasługuje na wielkie pochwały. Kiedy prelegent opowiadał treść tego dzieła, niepodobna się było oprzéć potężnemu wrażeniu.

Posłuchajmy tego opowiadania.

Autor rozpoczyna od igraszek dziecięcych dziewczynki i dwóch chłopczyków. Dziewczynka kocha obu zarówno, a kiedy się jeden z nich pyta czyją zostanie żoną, odpowiada bez wahania: obydwóch!

Dzieci rosną, a wraz z nimi ich miłość. Obaj młodzieńcy kochają piękną dziewczynę. Piotr jest nieśmiały, Enoch go wyprzedza, oświadcza się i zostaje przyjęty. Dla towarzysza dziecięcych igraszek i przyjaciela młodości, dziś już przy kochających się nie ma miejsca. Ustępuje, a Enoch zostaje mężem ukochanej kobiety. Nadchodzą troski o chleb dla siebie, żony i dzieci. Enoch chciałby dać swym malcom lepsze wychowanie, aniżeli sam otrzymał, bo widzi w tem możność polepszenia bytu. Niemożność urzeczywistnienia zamiaru martwi go. Wreszcie opuszcza cichy, a biedny domek szukając zarobku za morzami.

Pojechał i nie wraca. Żona tonie we łzach, niepewna o los męża, czeka z tęsknotą długie lata, mąż nie wraca, a trosk przybywa. Wtedy zjawia się Piotr. Udziela pomoc, pomaga kształcić dzieci, bo pragnie, ażeby Enoch powróciwszy do domu miał radość a nie zmartwienie. Lecz kiedy lata upływają a Enoch nie wraca, Piotr chce zapewnić jego żonie przyszłość i prosi o jej rękę. Po długich wahaniach otrzymuje ją.

A kiedy ci ludzie szczęśliwi siedzą przy ognisku, kiedy dzieci otaczają Piotra jak ojca, zjawia się Enoch. Patrzy przez okno na to ciche szczęście, a burza uczuć rozpiera pierś jego...

Nie chce burzyć szczęścia tych, których kochał całą duszą, żyje w ukryciu, patrzy czasem z dala na swe własne dzieci, które dziś innego ojca mają i wtedy serce jego płacze. Ciężkie koleje życia i ten ból wewnętrzny zbliżają kres życia. Zapomniany umiera, a choć ma rodzinę, nie ma komu zamknąć mu powieki...

Poprzestaniemy na tem. Niech te dwie próbki dadzą choćby słabe pojęcie o Tennysonie.

Następny odczyt zaciekawił naszą publiczność, a osobliwie panie. P. *Roman Wierzchlejski* mówił „O prawach kobiety wedle ustaw u nas obowiązujących”.

Przedmiot to istotnie bardzo ciekawy, jakkolwiek prelegent nie nadał mu w wykładzie polotu i barwności, a poprzestał jedynie na suchem przedstawieniu tego, czego prawo u nas kobietom dozwala, a czego nie.

Na wstępie zaznaczył, że ludzkość dąży nieustannie do udoskonalenia wszystkiego, co jej jest tworem. Że więc to dążenie ku lepszemu i w prawodawstwie musi się objawiać nie ulega najmniejszej wątpliwości. Z udoskonaleniem zaś prawodawstwa wogóle muszą i prawa kobiety zyskać.

Najobszerniej mówił prelegent o stosunkach prawnych kobiet w zakresie cywilnym. Osią, około której rzecz cała obracała się, była ustawa o małżeństwie z roku 1836. P. Wierzchlejski nazywa władzę męża nad osobą i majątkiem żony koniecznością społeczną. Nie tai wszakże, że władza taka posunięta do absolutyzmu sprowadza częstokroć bardzo złe następstwa. Przewidział to ustawodawca, podając sposoby uwolnienia się z pod władzy mężowskiej w wypadkach wyjątkowych nadużyć. Od wpływu osobistego męża może się żona uwolnić przez separacyą, lub rozwód, co wszakże tylko po przeprowadzeniu procesu jest możliwe.

W sprawach majątkowych rozporządzalność przysłuża tylko mężowi. On zarządza majątkiem żony bez wszelkiej odpowiedzialności. Żona natomiast nie ma prawa rozporządzalności majątkiem za życia. Wolno jej tylko bez wiedzy męża zrobić testament i zabezpieczyć hipotecznie swoje prawa majątkowe. W razie gdyby mąż źle szafował majątkiem, pozbawiając żony środków utrzymania, przysłuża jej prawo zmusić go na drodze sądowej do zwrotu majątku, lub zabezpieczenie utrzymania.

Wszelkiem nieporozumieniom i nadużyciom pod tym względem zapobiegają ugody przedślubne, w których się wyraźnie zastrzega czy to wspólność czyli też odrębność majątków męża i żony.

Dalej mówił prelegent o prawach żony w razie zerwania małżeństwa, a mianowicie o prawach spadkowych i opiece nad dziećmi.

Słowem, odczyt p. Wierzchlejskiego zawierał wiele nader ciekawych szczegółów, za które słuchaczki powinny być wdzięczne prelegentowi.

P. *Gerson*, znany malarz, wykształcony estetyk i doskonały profesor szkoły sztuk pięknych, mówił „O stosunku sztuk pięknych do cywilizacyi”. Przedmiot to bardzo rozległy, dlatego rozłożył go prelegent na dwa odczyty, które jaśniały głębokiem poczuciem piękna i znajomością przedmiotu.

Prelegent rozpoczął rzecz swoją od dziejów sztuki w Helladzie i Romie. U innych narodów sztuka nie rozwinęła się tak świetnie, nie pozostawiła tak cennych pamiątek. Starożytna Grecya w epoce największego rozkwitu, była istnym krajem sztuki. Poezya myśli i kształtów zespoliły się w harmonijną całość, która przetrwała wieki i stała się mistrzynią harmonii w epokach nawet najnowszych.

Śledząc bacznie rozwój sztuki, nie zapomina prelegent ani na chwilę o rozwoju ducha i cywilizacyi. Badania ścisłe każą mu stawić wniosek, że celem sztuki o Grecyi było piękno ducha, przeobleczone w piękno form plastycznych. Fantazya grecka, pełna wytworów nadziemskich, miała im nadać kształty równie piękne czy to w poezyi, czy też w rzeźbie i architekturze. Ztąd ta wysoka wartość jej dzieł.

Grecya upadła, wraz z nią zamarło życie artystyczne. Narodowi niewolników nie czas było rozkoszować się dziełami sztuki.

Panowanie nad światem niemal całym dostało się w ręce Rzymian. Potęga Romy rosła szybko, olbrzymiała, aż wreszcie ogarnęła przestrzenie tak kolosalne, o jakich się przedtem żadnemu państwu nie śniło. Wielkim wodzom zdawało się, iż są prawdziwemi bogami. Cześć dla zwycięzkich wodzów a później cezarów równała się niemal religijnemu kultowi. Stawiano zdobywcom posągi. Sztuka poszła w służbę potężnej władzy. Adeptami tej sztuki byli Grecy. Artystów i filozofów brano w niewolę lub kupowano i kazano tworzyć dzieła, schlebiające zachciankom możnych.

Dostatek wyrodził zbytek, zamiłowanie w rozkoszach zmysłowych rozpustę — sztuka musiała

być służebnicą i ozdabiać przybytki zabaw z przepychem.

Ztąd upadek sztuki, zatracenie ideałów.

Aż wreszcie z katakomb powstały nowe idee, które wlały nowe życie w sztukę i cywilizacyę.

To chrystyanizm.

Zrazu nie miał on silnego wpływu na sztukę, poprzestać musiał na duchu. Aż kiedy w wieku czwartym dozwolono mu działać jawnie, zaczęła się era w sztuce.

Miano jednak jeszcze wątpliwości, czy godzi się chrześcianom posługiwać rzeźbą i malarstwem do uzmysłowienia idei? Wszak to był zwyczaj pogańskich Greków. Prawo Mojżesza zabroniło przedstawienia Boga w jakimkolwiek kształcie. Żarliwi zwolennicy tej zasady byli inicyatorami obrazoborstwa. Temu to fanatyzmowi należy przyznać, iż z dawnych arcydzieł sztuki prawie nic w całości nie pozostało. Wszystko poniszczono tak, że kawałki posągów odnajdywano w odległych nieraz miejscach. Jedyny wyjątek stanowi tu posąg Afrodyty odkryty w bieżącem stuleciu w zamurowanej niszy. Cudownie piękna bogini, zakryta przed oczyma fanatyków ocalała szczęśliwie.

Do najgorliwszych obrońców sztuki przeciw obrazoborcom należał papież Grzegorz II. On to wypowiedział zdanie: „czem pismo dla umiejących czytać, tem dla nieumiejętnych jest obraz."

Pierwsze budowle chrześciańskie, to bazyliki, kościoły, zrazu skromne i nieokazałe. Rzeźby i obrazy przedstawiały wielkość Chrystusa istotną wielkością kształtów, podczas kiedy apostołów robiono znacznie mniejszymi. Okazy takie zachowały się po dziś dzień w płaskorzeźbach romańskich i późniejszych mozaikach weneckich. Sztywność figur znamionuje styl w owej epoce panujący, bizantyjski.

Zapał religijny wieków średnich uwalnia sztukę od tej sztywności, wlewa w nią nowy żywioł. Zmianę tę spostrzegamy najpierw w duchu, który każe ludom północno-wschodnim przedsiębrać wyprawy do ziemi świętej. Po pielgrzymkach zaczynają się rodzić nowe prądy w sztuce. Narody romańskie i germańskie wznoszą wspaniałą świątynię, tworząc zupełnie nową architekturę, romańską, ostrołukową. Mury wspaniałe, wysokie wieże i śmiałe łuki sklepień, oto znamiona tych budowli. Wobraźnia ludu przywiązuje do każdej niemal świątyni jakąś legendę o przeszkodach w budowaniu, jest to ślad trudów na jakie twórcy nowych stylów byli narażeni. Ostrołukowe świątynie dążą do przedstawienia całego majestatu domu bożego. Obok kolosalnych rozmiarów, spotykamy bogactwo ornamentacyi, na którą składają się liście przeróżnych kształtów i cała niemal fauna. Jest to dążenie do wypowiedzenia plastyką tego, co nasz poeta wyśpiewał:

„Tobie śpiewa żywioł wszelki.
Bądź pochwalon Boże wielki!"

Żarliwość w wznoszeniu świątyń podbudza przekonanie, że tym sposobem można zmazać grzechy i przewinienia.

Inne siedlisko znajduje sztuka w zamkach bogatych Raubriterów. Zamki to wspaniałe, budowane kosztem trudów i krzywdy ludzkiej. To kontrast kościołów. Najuboższe były szkoły. Sale o nizkich sklepieniach kryły bogate księgozbiory i ludzi uczonych. Z tych cichych pracowni wyszło światło, które w wieku XV złotym blaskiem opromieniło Europę.

W Polsce pracowano dla sztuki również nie mało. Wspaniałe świątynie, zamki graniczne i miejskie przybytki władzy świadczą o wielkim rozkwicie sztuki. Koniec XIV i początek XV wieku najpiękniej się pod tym względem w dziejach zapisały.

Nowe zdobycze cywilizacyi, nowe pojęcia, zrodziły w sztuce nową epokę, to epoka odrodzenia. Łączy ona style: grecki z rzymskim i romańskim. Wznoszą więc budowle wyniosłe, zdobne jak koroną, kopułą. W malarstwie rozkwit wielki.

Wszędzie idea chrześciańska przyświeca, jak wieczna pochodnia cywilizacyi.

Po epoce odrodzenia nastąpił znowu upadek sztuki chwilowy. Wiek obecny przyniósł nam nowe odrodzenie we wszystkich gałęziach sztuki. Wzory Grecyi i Rzymu nieśmiertelne, zrodziły nową epokę klasyczną.

Idea chrystyanizmu nie upadła i nie upadnie, i dziś ona równie jasno promienieje w sztuce, jak za czasów pierwszych wyznawców. Kształty się tylko zmieniają, przetwarzają, idea pozostała ta sama, wiecznie młoda, i wiecznie wielka...

Pogadanka.

Zaprzątnę was dziś trochę łaskawe Czytelniczki cyframi. Wymowa cyfr stwierdzoną już została dawno, jako niezmiernie potężna, bo nie podlegająca wątpliwości. Argumenta, choćby najsilniejsze, mogą być odparte argumentami; rozumowania jednego nie zgadzają się z rozumowaniami drugich, cyfry tylko stoją niewzruszone i choć smutne są nieraz, niemniej przeto prawdziwe.

Wspominaliśmy już kilkakrotnie o ubytku ziemi w W. Ks. Poznańskiem, przechodzącej z rąk polskich w niemieckie. Fakt to nie wesoły, a ważny, jak pewno nie wiele podobnych możnaby wykazać. Dziś mamy pod ręką cyfry istotnie zanadto wymowne. Wpierw jeszcze nim je przytoczymy musimy przypomnieć, że przed dwoma laty zabrał w tej sprawie głos J. I. Kraszewski, nie szczędząc słów ostrej, strasznej prawdy. Opierając się na cyfrach wykazujących ubytek ziemi pytał dlaczego tak się dzieje? Na pytanie to dał sobie sam odpowiedź, która wcale niepochlebnie świadczyła o ziemianach księztwa. Dziennikarstwo poznańskie oburzyło się na głos Nestora naszej literatury i pracy społecznej i dało mu odpowiedź, w której nie mogąc zaprzeczyć faktów, zaprzeczali prognostykom nad wyraz smutnym. Odpowiedź ta była dyssonansem, któregośmy się wcale nie spodziewali. Szermierza prawdy dotknięto w sposób krzywdzący.

Po dłuższej polemice w tej sprawie nastąpiła cisza. Kraszewski zamilkł, lecz groźna sytuacya nie przeminęła. Przeciwnie.

Oto w najnowszem obliczeniu L. Żychlińskiego, znajdujemy następujące cyfry:

W roku 1848 wynosiła ogólna suma większej własności w polskich rękach pozostającej morgów 3,792,764, własność niemiecka 2,422,000 morgów, licząc w to już 820,000 morgów królewszczyzn.

Do roku 1878 ubyło z rąk polskich 972,969 morgów. Przez następnych lat pięć t. j. aż do roku bieżącego ubyło znowu 147,000 morgów ziemi polskiej, czyli że co roku ubywa 32,000 morgów. Dzisiaj więc własność większa w rękach polskich wynosi 2,672,095 morgów, a zaś w rękach niemieckich 3,542,669 morgów.

Na cyfrach tych poprzestajemy a przechodzimy do cyfr innych, które choć równie jak tamte są tylko cyframi, mają w swej wymowie oddźwięk bardzo miły. Wyjmujemy je ze sprawozdania z czynności towarzystwa osad rolnych.

Instytucya ta cieszy się coraz większem uznaniem, a jak sprawozdanie dowodzi, zasługuje na to.

W roku ubiegłym znajdowało się w osadach wychowańców *stu pięćdziesięciu dwóch*. Byli to skazańcy sądów, rozmaitych kategoryi, przeważna część nie miała już rodziców, co tembardziej tłomaczy ich przestępstwa. Brak kierownictwa moralnego popycha zbyt często na drogę złego.

Działalność instytucyi najlepiej wykażą cyfry wykształcenia przestępców. Ze 152 zaledwie ośmiu umiało czytać i pisać, 24 umiało tylko czytać, reszta nie miała o jakiejkolwiej nauce nawet pojęcia.

Wychowanie opiera się na nauce szkolnej, której poświęca się trzy godziny dziennie i na nauce rzemiosła. Oprócz ogrodnictwa i rolnictwa uczą tam: roboty wozów i bryczek, kowalstwa, stolarstwa, krawiectwa i szewctwa. Najwięcej wychowańców zajmowało się rolnictwem, rzemiosła liczyły od dziesięciu do dwudziestu terminatorów. Warsztaty dały dochodu 1,532 rubli 77 kop.

Rzecz naturalna, że nie wszyscy odrazu się poprawili, trzeba było czasem użyć kary, lecz z drugiej strony nie brakło takich, którzy zupełną poprawą, pilnością i zachowaniem się zasłużyli na pochwałę i nagrodę. Nagród rozdano wiele, bo w gotówce samej 762 rubli 74 kop. Nagrody te złożone w kasie oszczędności posłużą wychowańcom bardzo pożytecznie po opuszczeniu zakładu.

Widzimy więc, że instytucya, której potrzebę uznało całe społeczeństwo oddaje istotnie wielkie usługi. Mamy nadzieję, że działalność towarzystwa wzrośnie znacznie w miarę przybywających funduszów. Potrzebne to bardzo, a skutki, które dziś liczymy na dziesiątki poprawionych, będziemy mierzyli tysiącami.

Tymczasem grono pań, dla których praca około dobra publicznego jest najpierwszym obowiązkiem, krząta się około założenia towarzystwa opieki nad więźniami, którzy kary odbyli. Ułatwienie egzystencyi tym ludziom w pierwszych czasach po opuszczeniu więzienia, pogodzenie ich ze społeczeństwem, danie sposobności uczciwego zarobkowania, oto cel towarzystwa.

Panie, które tę myśl podjęły nie od dziś już na tem polu pracują. Rozwinęły one opiekę nad więźniami już dawniej, dziś pragną działać jeszcze pożyteczniej, chcą zakres działalności rozszerzyć. Jest nadzieja, że odnośnie władze statutu tej nowej instytucyi zatwierdzą, my życzym gorliwym pracowniczkom szczerze powodzenia.

Jeszcze inny projekt ma podobno przyjść do skutku. Projekt to bardzo piękny, a potrzeby jego dowodzić nie potrzebujemy. Oto jest zamiar założenia kasy emerytalnej dla oficyalistów prywatnych, którzy dotąd byli pozbawieni wszelkiej opieki na starość.

U dobrego pana można się było wprawdzie dosłużyć łaskawego chleba, przy uczciwej pracy udało się czasem uciułać jakiś grosz na czarne godziny, ale to nie było regułą ogólną. Dawne tradycye pod tym względem zaginęły; nowe żywioły nie zawsze umiały sobie przyswoić dobrą stronę szlacheckich obyczajów...

To też, jeśli prawdą jest, że trzech zamożnych obywateli, krząta się około urzeczywistnienia przytułku, a nawet mają na początek ofiarować 10,000 rubli, to istotnie tylko przyklasnąć takiemu zamiarowi.

W każdym razie zdaje nam się, że oficyaliści sami powinni pochodzić około założenia kas emerytalnych, jak to się dzieje za granicą, gdzie stowarzyszenia tego rodzaju obracają ogromnemi kapitałami. Pomoc własna powinna raz już wżyć się w przekonania społeczeństwa. Gdzie tylko jest jaka potrzeba, zapobiegać jej a nie zwlekać. Czekanie, aż nam kto inny dopomoże nigdy nie wyda dobrych owoców.

Jeszcze o jednem stowarzyszeniu.

Od roku istnieje w Warszawie schronienie dla nauczycielek. Celem jego jest naturalnie schronienie dla tych nauczycielek, które czy to wskutek starości, czy choroby, czyli też chwilowym zbiegiem okoliczności nie mają zajęcia. Zaopatrzenie nie w wygody, ale w najpierwsze potrzeby tych, które pracują ciężko a pożytecznie, jest bezwątpienia obowiązkiem społeczeństwa. Jeżeli kto, to nauczycielki mają zadanie wielkie i szlachetne do spełnienia. Światło, które one rzucają w umysł młodego pokolenia jest więcej pewno warte, aniżeli ten kawałek chleba, którego im się udziela dopóki mogą pracować.

A potem?

Wszakże godziwą jest rzeczą pomyśléć o przyszłości tych cichych pracownic. Ofiarność kilku osób nie wystarcza, bo schronienie powinno być przystępne dla wszystkich. Dziś znajduje w nim pomieszczenie osób *piętnaście*—a zgłosiło się ogółem kandydatek *trzysta*.

Cyfra to wymowna.

Biednych, bez środków utrzymania jest tak wiele, a fundusze schronienia nie pozwalają na ich powiększenie. Dlatego sądzimy, że ktokolwiek tylko ma możność wsparcia tej tak potrzebnej instytucyi, nie powinien się ani chwili ociągać. Pomoc to zresztą łatwa, bo rzeczywiści członkowie potrzebują płacić tylko *dziesięć rubli rocznie!*

Mamy nadzieję, że takich znajdzie się wielu, którzy małą ofiarą przyczynią się do wielkiego dobra. Datki należy przesyłać na ręce ks. Zygmunta Chełmickiego, dyrektora schronienia nauczycielek (ulica Żórawia Nr 3), lub wreszcie do naszej redakcyi i do „Przyjaciela Dzieci".

W niedzielę 18 marca odbył się świetny koncert na rzecz tego schronienia. Rezultat materyalny wesprze znacznie kasę tegoż.

Biedne nauczycielki będą miały weselsze święcone, gdy pomyślą, że społeczeństwo ceni ich pracę i pamięta o nich.

Może i nasz głos nie pozostanie bez skutku.

A teraz, przyjmijcie najlepsze życzenia od gawędziarza, który radby połączyć pożyteczne z pięknem i sprawie publicznej się przysłużyć i zjednać sobie wasze zaufanie i względy:

Wesołego Alleluja!

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Laskarys Jerzy. Pamiątki starego Szlachcica, według pierwowzoru ułożone dla młodzieży. Warszawa 1883 r.

Z prawdziwą przyjemnością i zupełnym wewnętrznym zadowolnieniem przeczytaliśmy powyższe dziełko ozdobione prześlicznie wykończonemi drzeworytami i pięknemi chromolitografiami. Pan Laskarys streszczając Pamiątki starego szlachcica Seweryna Soplicy, wziął się do tego z całą znajomością rzeczy i wielkim talentem. W siedmnastu rozdziałach podał naszej młodzieży całe nieomal pamiętniki Soplicy, rachowując w tem streszczeniu wszystko to co młodzież zająć i nauczyć może.

To też powyższe dziełko śmiało uważać możemy za najudatniejszą pracę poświęconą młodzieży ze wszystkich prac i gwiazdkowych wydawnictw bieżącego roku. Dziwić się należy, że autorowie piszący dziełka dla młodocianego wieku nie wpadli dotąd na pomysł tak świetny obznajamiania młodzieży z arcydziełami literatury naszej w sposób tak przystępny i pożyteczny. A przecież zamiast pisać karmelkowo-nudne bajeczki, to pożyteczniej by było streszczać dla młodzieży takie Pamiętniki Ochockiego, Kwestarza Chodźki, Starą baśń Kraszewskiego i tyle innych dzieł, które obok rozrywki, kształcą zarazem umysł i serce. Za treściwe i umiejętne ułożenie Pamiątek starego szlachcica należy się p. Laskarysowi szczera podzięka, tak jak niemniej i wydawcy, który tę pracę wydał ozdobnie i z wielką starannością.

Zofia Mellerowa. Straduję! komedya w jednym akcie. Warszawa 1883 r.

Przychylnie przez krytykę teatralną przyjęta komedya p. Mellerowej pod tytułem „Straduję", również i w czytaniu zasługuje bezwględnie na wyróżnienie z pośród wielu a wielu utworów tego rodzaju innych autorów. Postać Jacentego Ślepowrońskiego nadzwyczaj sympatyczna, jest jakby żywym portretem zacnego i poczciwego szlachcica, który pod naciskiem swej magnifiki przybywa do Warszawy z postanowieniem zlicytowania byłego swego sąsiada, który straciwszy całe mienie, zadłużył się u p. Jacentego i wraz z żoną pracuje na kawałek chleba z widokami, że będzie mógł spłacić dług zaciągnięty. Pan Jacenty widząc mrówczą pracę nieszczęśliwych, oraz przekonawszy się osobiście czem się oni żywią i zjadłszy „grochówkę bez wędzonki" mimo piorunów jakie na niego spaść miały, gdy stanie przed swą Stefcią, nietylko, że oddanie należności sąsiadowi swemu prolongował lecz nadto jeszcze synów p. Wierzgalskiego pod pozorem zadatku na korepetycye hojnie obdarzył.

Tak tendencya tej komedyjki jak i sama treść jest zacna i uczciwa bo płynie z serca, dlatego też gorąco zalecamy ją kółkom amatorskim, tembardziej, że jest to obrazek jakby z życia poczerpnięty.

Erazm Majewski. Potop. Szkic przyrodniczo-filozoficzny, z ostatniej doby dziejów kuli ziemskiej. Wydanie drugie przerobione i znacznie pomnożone. Warszawa 1883 r.

W roku 1881 w numerach „Tygodnika" 28 i 30 dane było sprawozdanie z dzieła p. E. Majewskiego: „Potop biblijny i peryodyczne potopy ziemi", którego treść w zupełności była przytoczoną.

Powołując się na ową ocenę, dziś treści pracy p. M. jako zbytecznej nie przytaczamy nadmieniając, że „Potop" wskutek przeróbki i znacznego pomnożenia, przybrał kształty sporego dziełka. Jak w pierwszym wydaniu tak i tu wszystkie swe wywody opiera p. M. na hipotezie Adhémara, wedle której potop biblijny w pewnych odstępach ma się powtarzać.

Po długich wywodach, zestawieniach różnych teoryi i t. d. przychodzi pan M. do wniosku: „że prawdziwego wyjaśnienia kwestyi jeszcześmy nie znaleźli" i że „istnieje jakieś nieznane zjawisko, o które rozbijają się nasze usiłowania w celu przeniknięcia tajemnic przyrody". Z tem wszystkiem praca p. M. „Potop biblijny" „przerobiona i znacznie pomnożona" jako zawierająca w sobie wiele szczegółów nieznanych szerszej publiczności, zasługuje nietylko na uznanie lecz i na rozpowszechnienie.

Jan Jeleński. W sprawie samorządu miast naszych. Warszawa 1883 r.

W niedalekiej już może przyszłości, spełnienie faktu zaprowadzenia reformy miast w Królestwie, skłoniło p. J. Jeleńskiego do wypowiedzenia tego co mu obowiązek wskazuje. Najprzód więc autor zapoznaje czytelnika z ważniejszemi zasadami samorządu miast w Cesarstwie. Następnie przechodzi do właściwego założenia co przy zaprowadzeniu reorganizacyi miejskiej w Królestwie, byłoby pożądanem i co mogłoby nam przynieść dobre rezultaty. Rzecz cała napisana dobrze poparta nader zajmującemi statystycznemi danemi, które jak taranami druzgocą wywody germano i semitofilów. Na 690,662 mieszkańców stałych, wypada 402,418 żydów! pozostaje więc ludności katolickiej 294,244 zamieszkującej w miasteczkach prowincyonalnych. W Warszawie samej zaś w stosunku do ogółu ludności miasta, żydów jest prawie 40 proc.

Jakób Goldszmit. Noworocznik Warszawski na rok 1883. Warszawa 1882 r.

Mamy przed sobą jedno z licznych wydawnictw kalendarzowych i bezstronnie sądząc, oświadczyć musimy, że Noworocznik Warszawski śmiało zaliczonym być może do rzędu lepszych wydawnictw tego rodzaju.

Widzimy tu oprócz takich imion jak El..y, Gomulicki, Korwin, Kotarbiński, Orzeszkowa, Sowiński i Waliszewski, także i nazwisko naszego nestora powieści i pisarzy J. I. Kraszewskiego, którego „Z księgi krajobrazów" jest istnym brylancikiem najczystszej wody.

Niemniej do bardzo udatnych prac pomieszczonych w tym Noworoczniku zaliczyć należy szkic z bruku Warszawskiego „Pajac" F. Waliszewskiego. Wydawnictwo całe tego Noworocznika przedstawia się bardzo dobrze i świadczy o wielkiej a pochwały godnej staranności około niego p. Jakóba Goldszmita redaktora i wydawcy.

Sewer. Szkice z Anglii w trzech częściach, nakład K. Łukaszewicza. Lwów 1883 r.

Dwudziesty piąty tom biblioteki nowości wydawanej przez ruchliwą księgarską firmę p. Łukaszewicza we Lwowie, obejmuje znanego autora p. Sewera „Szkice z Anglii.

Porwać się choćby tylko na szkicowanie narodu, powiada autor w swoim wstępie, któregojęzyk, cywilizacye i obyczaje zapanowały na połowie kuli ziemskiej, jest rzeczą o tyle trudną, o ile trudnem jest do pochwycenia i odwzorowania jego różnorodny charakter.

Autor przedstawiając w swoich szkicach jedne i te same typy w różnych fazach życia, usiłował tym sposobem uosobnić wady i przymioty ogółu a przez to dokładniej zarysować charakter narodowy, „sądząc, że tym sposobem łatwiej się będzie czytelnik orientować w szczegółach i utworzy z nich pewną całość pojęć" nie krępowanych osobistemi poglądami autora.

Szkice z Anglii Sewera, jako napisane przez człowieka, który długie lata wśród Anglików i na

ich ziemi spędził, i który umiał patrzéć i z tego patrzenia korzyści ciągnąć są napisane nietylko pouczająco lecz i wielce zajmująco, a przy formie przyjętej przez p. Sewera stanowią nader cenne dzieło treści beletrystyczno-naukowej, rzucające jasne światło na stosunki, zwyczaje i obyczaje angielskie.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** W Anglii, rozstała się z tym światem hr. Stamford-Warington, najsłynniejsza a może jedyna gwiazda *turfu*, którego kredyt i honor podtrzymywał ceną nieustannych starań, zabiegów i ofiar. Mieszkał w Bradgate, w tym najwspanialszym pałacu w całej W. Brytanii, w którym Joanna Gray spędziła swoje spokojne, całkiem oddane nauce młodociane lata. Dziadek szlachetnego lorda słynął w swoim czasie ze swego romantycznego usposobienia, skutkiem którego chcąc być przekonanym, że jest kochanym dla samego siebie, opuścił pałac naddziadów ubrał się w ubogie suknie i przerzuciwszy przez ramię tekę z farbami i rysunkami, udał się na wędrówkę po kraju. Daleko, bardzo gdzieś daleko od majętności swoich, znalazł nareszcie skarb poszukiwany, a gdy upatrzona dziewica wyszła zwycięzko ze wszystkich prób jakim ją poddawał, pojął ją za żonę i żył z nią długi czas w jakiejś małej wiosce. Nareszcie pewnego dnia oznajmił jej, iż postanowił zmienić miejsce zamieszkania, i młoda para puściła się w drogę piechotą i tak przywędrowała aż do bram Bradgate. Odźwierny poznawszy pana, skłonił mu się aż do ziemi, a lord dopiero wszedłszy do przedsionka pałacu, dał poznać prawdziwe swoje stanowisko towarzyszce życia. Zmarły obecnie lord nie odziedziczył romantycznego usposobienia swego dziada i zajmował się wyłącznie hodowlą koni. Jego stajnie w Newmarket sławne są w całym świecie. O wygrane nie dbał i tak raz gdy jedna z klaczy jego wygrała 10,000 funt. szterl. oddał ją całą entrenerowi i żokejowi. Chyba obecnie już i w Anglii nie znalazłby tak romantycznych dziadków ani tak hojnych wnuków.

*** Nie dawno temu, panna Fanny Calder w Londynie, stanęła na czele wielkiej agitacyi, której celem jest przeprowadzenie w drodze ustawodawczej reformy wyższych szkół ludowych w Anglii, a to w tym kierunku, żeby uczenicom tych szkół wykładano gruntownie sztukę kucharską, z praktycznym kursem gotowania i zakupywania potrzebnych do kuchni wiktuałów. Panie londyńskie żywo zajęły się tą sprawą i zgłosiło się już nawet wielu rzeźników i kupców z gotowością otwarcia w pewnych godzinach dnia swoich sklepów, dla pragnących nauki tak potrzebnej dla kobiet, aby mogły badać u źródeł i rozpoznawać ich względną wartość wszelkie artykuły żywności. Podobnych agitacyi bodajby było jak najwięcej— na takich przewrotach społeczeństwo zyskać tylko może.

*** Powstają w ogóle i słusznie na zbytek strojów kobiecych, otóż według obliczeń jenerała Walker w Stanach Zjednoczonych, mężczyźni wydają tam rocznie na swą garderobę 498,000,000 dol., kobiety zaś tylko 317,000,000 dol. Zatem w przecięciu wypada rocznie na jednego mężczyznę 45, a na kobietę 27 dolarów, odnośnie do liczby kobiet i mężczyzn.

*** Na zachód Jordanu żyje pokolenie katolickich Arabów. Przed wielu laty zabrali tamtejsi Arabowie do niewoli młodego włoskiego księdza, który w krótkim czasie umiał zdobyć sobie wśród nich wielki mir i powagę, nawrócił ich stopniowo, udzielił chrztu św. i dotąd przebywa między nimi, szanowany i kochany.

*** Istniejące w Wiedniu stacye meteorologiczne, od lat już pięciu na wsze strony państwa rozsełają rolnikom depesze telegraficzne donoszące 24 godzin naprzód o zmianach atmosferycznych, o prądach wiatru, o ciśnieniu atmosferycznem, wypogadzaniu lub zachmurzaniu. Ministeryum zniżyło taksę o 50 procent dla depesz z meteorologicznemi wskazówkami, w skutku czego abonament miesięczny za 20 słów codziennie, kosztuje tylko 9 złr. 60 centów. Około 3,772 zaabonowało się w towarzystwie, a prócz tego wysełają tysiące pojedyńczych odpowiedzi. Skonstatowano ciągłe zbliżanie się do coraz ściślejszej akuratności w podaniach zmian, tak że najzupełniej dokładne dochodzą do 80 proc. wszystkich doniesień. Próby te powinnyby zachęcić do urządzenia stacyi meteorologicznych we wszystkich krajach rolniczych.

NOWE WYDAWNICTWA.

Praktyczna nauka rachunku sumienia opracował Gwiazdzic, część pierwsza cena kop. 6, nakład księgarni Izydora Wassermana w Płocku.

Angielsko polski słownik, opracowany przez J. I. Baranowskiego tom I-szy ze wskazówką jak polskie wyrazy mają się wymawiać w sylabach angielskich. W II-gim tomie polsko-angielskim wskazanem zostanie wymawianie wyrazów angielskich za pomocą sylab polskich.

Encyklopedyi wychowawczej wyszedł tomu II-go zeszyt 8-my i obejmuje od wyrazu Chrościkowski, aż do Ćwiczenia stylistyczne.

Encyklopedya wychodzi w zeszytach pięcio arkuszowych. Wyszło dotąd dwa tomy czyli zeszytów 16, każdy tom złożony przeszło z 40 arkuszy, kosztuje rubli 5, z przesyłką rs. 5 kop. 30.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu S. Krzy. przez stacyą Soroki. Numera zatracone już bardzo dawno zostały posłane na ręce pana Szymanowicza do stacyi Soroki. Prosimy o doniesienie czy odebrane zostały.

Pa. K. Wierszyk z zapytaniem „Czemu?” nie odpowiada na zrobione pytania i przez to zdaje się jakby nieskończony, jakby wiara i nadzieja niczem były dla człowieka a rozum jego bez żadnej wartości.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Марта 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca F. Skiwski. Druk F. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

— Sądzę, rzekł spokojnie, że nie obawiasz się z mej strony pogardy, i nie odrzuciłbyś mej opieki wrazie gdyby mogła stać się potrzebną tobie... lub jej.

Raynold, który chodził szybko po pokoju, jak czynił to i dawniej gdy był niespokojny lub wzruszony, zbliżył się z żywością do przyjaciela.

— O! nie, nie, Armandzie; przeciwnie, jest mi i teraz potrzebną, potrzebną koniecznie, nieodzownie... Możesz mi oddać przysługę przewyższającą wszystko co uczyniłeś dla mnie w przeszłości... Przeszłości!.. powtórzył z krzykiem boleści nad którą już nie mógł zapanować... O mój przyjacielu! gdzież jest ta przeszłość... w co się obróciło moje życie?.!

Wsparł głowę na rękach i przez kilka minut zostawał pod wpływem wzruszenia, o którego powody Armand nie potrzebował pytać.

— Bądź mężnym, Raynoldzie, nie poddawaj się smutkowi, rzekł nakoniec łagodnie, ale z tą prawie ojcowską powagą, z jaką przemawiał do niego nie raz, w owym czasie kiedy różnica ich wieku była wybitniejszą jak obecnie.

Raynold podniósł głowę i uśmiechnął się, tak już dawno nie słyszał tego poważnego i życzliwego głosu, tak mu go często brakowało!

— Masz słuszność, Armandzie, rzekł ściskając rękę przyjaciela; w naszym wieku nie wypada już rozczulać się nad sobą, ale zgadzać się z tem co jest i zastosować do tego swe postępowanie.

— Wszakże to właśnie nakazuje wszystkim zdrowy rozsądek i głos obowiązku, odpowiedział Armand trochę zmięszany, gdyż słowa przyjaciela wydały mu się echem jego własnych myśli.

Powiedziawszy to zadzwonił i tym sposobem przerwał rozmowę. — Marceli wszedł natychmiast, Malseigne polecił mu aby obiad był gotowy o pół do ósmej, a następnie zachęcił Raynolda do wspólnej przechadzki na Polach Elizejskich.

Serca ich tak były przepełnione uczuciami nasuwającemi im różne myśli, że wciągu tej przechadzki więcej milczeli niż mówili, po powrocie zaś, a nawet do końca obiadu, Malseigne naprowadzał umyślnie rozmowę na przedmioty zdolne rozerwać przyjaciela, lecz gdy po obiedzie przeszli do gabinetu Armanda, Raynold rozpoczął pierwszy przerwaną rozmowę.

— Armandzie, odezwał się nagle, czy zwróciłeś kiedy na to uwagę jakiego przymiotu jestem zupełnie pozbawiony? Wahasz się... Więc nie spostrzegłeś tego dotąd że mi brak odwagi?

— Wyznaję, rzekł śmiejąc się Armand, że nie dostrzegłem tego nigdy, pomimo że cię znam od dziesiątego roku twego życia.

— Nie mówię tu, odpowiedział Raynold trochę niecierpliwie, o tej odwadze która nie dozwala nam cofać się przed niebezpieczeństwem, taką posiadam, a zresztą jest wrodzoną każdemu prawie mężczyźnie. Nie mówię także o tej króra dozwala nam znosić mężnie fizyczne cierpienia, ale o innej zupełnie, o tej jaką ty posiadasz, Armandzie.

Malseigne spojrzał na niego z zadziwieniem.

— Tak, ty umiałeś i umiałbyś znosić wszystko co serce cierpieć może.

— Nie rozumiem do czego zmierzasz?

— Do tego, że ja w obec podobnego cierpienia okazałem się słabym, niecierpliwym, występnym. Nie chciałem zapomnieć, nie mógłbym chcieć tego, ale chciałem się rozerwać... Żal mój był tak ciężki tak dotkliwy!.. Ah! Armandzie, pozwól niech raz jeszcze mówię z tobą o niej... Wiesz że kochałem ją najczystszą, najwznioślejszą miłością! Obecność jej przeistoczyła mnie, a wspomnienie uchroniło mą duszę od wszystkiego coby mogło być jej niegodnem... A jednak nadszedł dzień w którym uczułem się niewypowiedzianie znużony tem cierpieniem... Inna zajęła mnie na chwilę... obudziła moje współczucie... Dziwne to, wszak prawda?

— Tak, dziwne rzeczywiście, rzekł Armand, a po chwili milczenia dodał: Ale po co się zastanawiać nad tem czego już cofnąć nie można?

— Masz słuszność, rzekł Raynold, nie poruszajmy przeszłości, zwróćmy całą uwagę na teraźniejszość i przyszłość. Potrzebuję rozpocząć życie czynne aby przezwyciężyć mą słabość, bo inaczej onaby mnie zwyciężyła... Przystąpmy więc do tego co mnie tu sprowadziło.

Raynold przedstawił przyjacielowi swe zamiary, które z początku obudziły w nim pewne zadziwienie. Potrzebował koniecznie otrząsnąć się z tej długiej bezczynności. Gdyby takie życie jakie wiedzie już od roku przedłużyło się jeszcze, straciłby nad sobą panowanie, tak niezbędnie potrzebne aby przynajmniej on sam tylko był nieszczęśliwym.

— Hersylia, rzekł, równie temu niewinna co cierpię z jej powodu, jak gdyby była dzieckiem jeszcze w kolebce. Jest łagodna, szczerze mi oddana, ma serce czyste i kocha mnie bardzo. *Chcę* aby była szczęśliwą, *chcę tego* koniecznie i dlatego nie powinna nigdy domyślić się że ja nie jestem szczęśliwym.

Rozmyślał właśnie nad koniecznością wyszukania sobie jakiegoś pożytecznego zajęcia, gdy pan d'Estard (jeden z jego dawnych znajomych, zajmujący ważną posadę w ministerstwie spraw zagranicznych) przybył do Sorrento. Jakkolwiek Raynold unikał spotkania ze znajomymi, pan d'Estard potrafił zbliżyć się do niego, a nawet skłonić do wspólnych przechadzek, i wciągu jednej z nich zapytał go, czemu nie korzysta ze swego stanowiska w świecie, znajomości kilku języków i tylu obcych krajów, i nie obrał sobie zawodu dyplomatycznego.

— Domyślasz się zapewnie, Armandzie, że gdyby życie moje upływało tak jak o tem marzyłem, mówił dalej Raynold, nie pomyślałbym o niczem podobnem, ale obecnie postanowiłem pójść za jego radą. Potrzebuję wyzwolić się od tej niebezpiecznej bezczynności, potrzebuję jakiegoś ciągłego zajęcia... Jestto niezbędnem dla szczęścia Hersylii. Przyjąłbym jednak tylko posadę w jakimś dalekim kraju, gdzieby nazwisko moje było mniej znanem i gdzieby żona moja nie była narażoną na jakieś oznaki nieżyczliwości, których się lękam dla niej, z podejrzliwą drażliwością wypływającą z fałszywego położenia.

— Gdy zamiar mój doprowadzę do skutku, rzekł z goryczą, będę tak daleko od wszystkich moich, że dla nich przestanę istnieć na świecie... Dopóki rodzina moja nie zbliży się do mnie i do mej żony, nie przyjmę żadnego wybitniejszego stanowiska w Europie... Ale wakuje właśnie ważna posada za Atlantykiem, i d'Estard donosi mi właśnie że ją otrzymam za parę miesięcy, jeźli zgodzę się na pewne warunki. Oto list jego.

Armand przeczytał uważnie list do przyjaciela. Chodziło o to jedynie, aby Raynold przyjął naprzód missyę tymczasową, co da mu sposobność okazania swych zdolności i zapewni mu nadal żądane przez niego stanowisko.

Gdy Malseigne przeczytał list, Raynold odezwał się znowu:

— Wahałem się z początku, zdawało mi się że nie mogę zgodzić się na to, z powodu że musiałbym rozłączyć się z Hersylią na dwa miesiące... Wiesz już, Armandzie, że ona prócz mnie nikogo nie ma na świecie. We Włoszech nie byłaby nigdzie spokojną, jedyni jej krewni są największymi jej wrogami i właśnie chcąc ją uchronić od ich opieki... ale już wiesz o tem... Zresztą gdy ten list odebrałem, lekarz zalecił abyśmy wyjechali z Sorrento... Namyśliłem się w drodze i dziś rano posłałem odpowiedź.

— I cóż postanowiłeś?

— Postanowiłem przyjąć i wyjechać, a na czas mej nieobecności umieścić Hersylię w Erlon... Rozumiesz mnie zapewnie. Pomimo nieobecności mej matki, (która jak słyszałem długo ma jeszcze potrwać,) uważam Erlon-les-Bois za mieszkanie mej matki i bez jej zezwolenia nie wprowadzę tam nigdy mej żony. Ale znasz pałacyk du Gué, spodziewam się że Hersylia będzie tam mogła oczekiwać na mnie cierpliwie.

— Czy tylko nie będzie zbyt osamotnioną?

— Nie odjeżdżam na długo. Co do zajęć domowych, rachuję na jej starą mamkę. Jakkolwiek jestto tylko prosta wieśniaczka, ale serce wynagradza u niej brak ukształcenia i mogę śmiało spuścić się na nią. Wiem że to jeszcze nie dosyć, że Hersylia może potrzebować jakiejś rady lub pomocy, nawet rozrywki, jeźli jak mam nadzieję, zmiana miejsca i sposobu życia uleczy ją z tego przygnębienia pod którego wpływem pozostaje ciągle. Sądzę że w takim razie możnaby znaleźć w okolicach Erlon jakąś młodą osobę, której towarzystwo sprawiłoby jej przyjemność. Pod tym względem rachowałem właśnie na ciebie, Armandzie, i tobie pragnę powierzyć nad nią opiekę w czasie mej nieobecności, jeźli tylko jutro, gdy ją poznasz, to zadanie nie wyda ci się zbyt ciężkiem. Wrócę w pierwszych dniach czerwca.

— Nie potrzebuję czekać do jutra, rzekł Armand podając rękę przyjacielowi, tak cel do którego dążysz jak i zamiar twój jest szlachetny i rozumny i słusznie rachowałeś na mnie... Wierz mi, Raynoldzie, że życie może być zawsze pięknem dla tych którzy szukają w niem czegoś więcej nad własne szczęście, i że to nie oni są prawdziwie nieszczęśliwymi i najgodniejszymi politowania na świecie!

XII

W południowych krajach, tak samo jak po świtaniu następuje nagle dzień, a po dniu noc nie poprzedzona zmierzchem, tak i wiosna już w samym początku sprowadza letnie gorąca, i ci którzy szukali schronienia we Włoszech przed ostrą zimą północnego klimatu, są wtenczas zmuszeni uciekać przed słońcem, jako przed groźniejszym jeszcze od mrozów nieprzyjacielem.

Jakkolwiek zdrowie margrabiny de Liminges polepszyło się przez kilka miesięcy pobytu pod ślicznem niebem, obawiano się aby nagła zmiana temperatury nie oddziałała na nią szkodliwie. Dlatego też zaraz w pierwszych dniach kwietnia wyjechała do Crécy, gdzie córka i zięć już ją poprzedzili.

Postanowili oboje że przepędzi u nich całe lato, a na zimę, jak poprzedniego roku, udadzą się znów wszyscy razem do San-Remo.

Postanowili. Już to jedno słowo dowodzi że margrabina była tylko zdrowsza, ale nie zdrowa zupełnie. Nie odzyskała dotąd władzy w prawej ręcę, i było to widocznem, że jakkolwiek życiu jej nie groziło jak teraz niebezpieczeństwo, musiała wyrzec się nie tylko wszelkich zajęć nużących ją fizycznie, lub wymagających natężenia umysłu, ale jeszcze tej przewagi, tego wpływu moralnego które dotąd wywierała tak wszechwładnie. Przechodziła teraz bardzo ciężką próbę!

Jeźli jednak margrabina miała wady, to dowiodła teraz że posiadała silny charakter i wzniosłą duszę. Głęboka wiara przychodziła tu w pomoc jej dumie i chroniła ją od skarg i narzekań. Jaką walkę musiała staczać z sobą, to Bogu było tylko wiadome; przyjaciele, słudzy, dzieci, widzieli ją zawsze spokojną, znoszącą w milczeniu z wypogodzonem czołem, ten nowy cios tak dotkliwy dla niej.

Stosując się bez oporu do woli córki i zięcia, wynagradzała im tym sposobem ich troskliwość i przywiązanie. Biankę dziwiła a niekiedy przestraszała tak nagła i zupełna zmiana jej usposobienia, ale Iwon był z tego bardzo zadowolniony i uważał to za cud prawie.

— Gdyby kto powiedział dawniej że mi przyjdzie skłonić matkę mojej żony do ulegania mej woli, mówił nie raz, uznałbym się niezdolniejszym jeszcze do tego niż do komenderowania całą armią. Sądziłem że trzebaby walczyć z żelazną wolą, a nie ma nic cięższego na świecie jak przełamać żelazną wolę kobiety; tymczasem margrabina ustępuje mi z taką łatwością, że czasem trudno mi w to uwierzyć.

Co prawda, uległość jej była zawsze milcząca, a niekiedy smutna, ale jeźli margrabina ustępując zięciowi zadawała sobie więcej trudów niż sądził, wynagradzał jej to oznakami wzrastającego ciągle przywiązania. Iwon dawał jej dowody najtkliwszej troskliwości, a wrodzona dobroć i pomysłowość, nasuwały mu różne sposoby oderwania ją choć czasowo od trapiących ją myśli.

Nie chciał aby po powrocie do Crécy zajmowała też same pokoje w których dowiedziała się, jak się wyraził, „o piekielnem szaleństwie syna." Bianka przyznała że jak zawsze tak i teraz miał słuszność, i zajęli się oboje gorliwie urządzaniem dla margrabiny na dole, pokoju sypialnego i saloniku wychodzącego na ogród. Iwon zawiesił w nich cenne obrazy, przyozdobił wszystkiem co tylko mogło je upiększyć; Bianka przystroiła je kwiatami, ułożyła ulubione książki matki. Dość było otworzyć okno aby woń kwiatów napełniła pokój, dość zbliżyć się do niego aby napawać oczy uroczym widokiem.

— Biedna mama, rzekła raz Bianka do męża, na co jej się obecnie może zdać to wszystko? Najpiękniejszy pokój nie zdoła jej pocieszyć ani też uzdrowić.

— Ha! odpowiedział Iwon stawiając pyszny starożytny wazon, zawsze jej to nie zaszkodzi, a może sprawi przyjemność.

Przewidywania jego sprawdziły się, margrabina zdawała się bardzo zadowoloną ze swego nowego mieszkania, lubiła w niem przebywać i nie pominęła żadnej sposobności okazania córce i zięciowi, że dostrzega i umie cenić wszelkie dowody ich troskliwości.

Lubiła przebywać u siebie sama tylko z Elianą która czytała jej głośno, pisała za nią listy, stosownie do jej życzenia otwierała lub zamykała okna, słowem, odgadywała prawie jej żądania.

Łatwo się domyśleć że i ona także śledziła z natężoną uwagą stopniową zmianę w usposobieniu stryjenki, i pocieszała się myślą że nadejdzie chwila w której miłość macierzyńska odniesie nakoniec zwycięztwo nad niechęcią do syna, i skłoni ją do przebaczenia mu winy.

W pierwszych dniach maja, Eliana siedząc na nizkiem krzesełku przy fotelu margrabiny, czytała jej jak zwykle rano, rozdział z niezrównanego dziełka *O naśladowaniu Chrystusa.* Pani de Liminges słuchała uważnie, nie tracąc ani słowa, pomimo że przymknęła oczy. Na ten dzień wypadł właśnie jeden z najpiękniejszych ustępów książki i dlatego też gdy Eliana go przeczytała, zamyśliła się i powtarzała jeszcze w myśli najpiękniejsze jego ustępy.

„Natura cieszy się z mnogiej liczby krewnych i przyjaciół, pyszni się z dostojnego stanowiska i zacności rodu, uniża się potężnym, pochlebia bogatym i poklaskuje sobie podobnym..

„Łaska i nieprzyjaciół kocha, nie dostojność, nie zacność rodu, lecz szlachetność i cnotę wysoko ceni...

„Natura prędko się skarży...

„Łaska wszystko cierpliwie znosi.

„Łaska taka jest światłem nadprzyrodzonem, szczególnieszym darem Boga, właściwą cechę wybranych i rękojmią wiekuistego zbawienia...

„Im więcej zatem osłabia się natura, tym więcej pomnaża się łaska, i człowiek wewnętrzny podług wzoru Boskiego się kształci..."

Zdaje się że myśli ich spotkały się z sobą, gdyż po długiem milczeniu margrabina rzekła półgłosem, więcej do siebie jak do Eliany:

— Natura może być osłabioną a nie być zwyciężoną.

— Nie jestże to już zwycięztwem jeźli chcemy się zwyciężyć? powiedziała Eliana, ale zamilkła nagle przestraszona swą śmiałością, bo wiedziała jak starannie trzeba było unikać wszystkiego co mogło uchodzić za jakieś przystosowanie do przedmiotu o którym nie wolno było wspominać, lub też za chęć udzielenia rady. Dlatego też zadziwiła się gdy stryjenka rzekła przesuwając pieszczotliwie rękę po jej włosach:

— Tak sądzisz?.. A więc, *ja chcę* moja pieszczotko.

— Tak, chcę tego, mówiła dalej trochę drżącym głosem, i... i wyznaję ci to, drogie dziecię *żałuję.* Wszakże to już postęp.

To słowo brzmiało tak dziwnie w ustach które je wymówiły, że w pierwszej chwili Eliana nie chciała wierzyć własnym uszom, po chwili jednak zarumieniła się silnie. Żałuje ale czego?.. czy że dawniej odmówiła zezwolenia, czy też obecnie swej surowości? Jednak ta niepewność nie trwała długo, gdyż margrabina dodała prawie natychmiast:

— Ale... *nie mogę* przebaczyć!..

Eliana spuściła smutnie głowę; iskierka nadziei zabłysła w jej sercu i zgasła nagle. W prawdzie w pierwszych słowach stryjenki mogła widzieć dla siebie pochlebne, choć spóźnione zadośćuczynienie, ale dawno już wszelka gorycz, wszelkie osobiste względy ustąpiły z jej serca, i myśląc o Raynoldzie pragnęła tylko aby mógł otrzymać przebaczenie matki. Nabrała już tyle doświadczenia, że mogła zrozumieć o ile związek zawarty przez kuzyna był niewłaściwym; ale poczucie sprawiedliwości nie dozwalało jej podzielać uprzedzeń otaczających ją osób, i odkąd się przekonała że w tem szaleństwie Raynolda nie było nic hańbiącego, oraz że ta dla której je popełnił zasługiwała na współczucie i szacunek, niczego nie pragnęła tak gorąco jak tego aby kuzyn jej mógł pojednać się z rodziną.

Nie raz gdy zastanawiała się nad stopniową zmianą w usposobieniu stryjenki, zdawało jej się że chwila przebaczenia jest bliską, a następnie jedno słówko niweczyło jej nadzieję i wtenczas ogarniało ją jakieś zwątpienie; ale jakkolwiek i w tej chwili doznała przykrego zawodu, zasmuciło ją to mniej jak zwykle. Przypomniała sobie ciężkie dni po wyjeździe kuzyna, z jakąż wtedy nieubłaganą zaciętością margrabina oparła się jego życzeniom! Eliana teraz jeszcze ze drżeniem przypominała to sobie, a wtenczas doznawała takiego uczucia jakby ktoś rozpalone żelazo przyciskał do jej serca... a jednak teraz margrabina sama zaczyna uznawać że się pomyliła.

Może w tej chwili gorzka myśl: *za późno* przeszyła jakby nożem serce Eliany, ale nie dozwalała sobie rozczulać się nad sobą samą, więc i teraz zamiast poddawać się żalowi, starała się wyciągnąć ze słów stryjenki dobrą wróżbę dla Raynolda.

Tymczasem nadeszła godzina w której dzieci Bianki przychodziły powiedzieć babuni dzień dobry i wejście ich rozproszyło myśli Eliany. Wzięła na rękę malutką Lilię (jak braciszek przekręcił jej imie) pieściła ją i bawiła czas jakiś, a następnie oddała ją piastunce i wyszła z Gastonkiem do ogrodu.

Eliana lubiła bardzo kwiaty i lubiła zajmować się niemi, dlatego też wzięła pod swą wyłączną opiekę wielki kląb kwiatów znajdujący się dość daleko od pałacu i tam właśnie udała się teraz. Gastonek bawił się tam wybornie grabiąc ścieszki malutkiemi grabkami, lub też polewając wskazane mu przez ciotkę kwiatki. Pracowali tak gorliwie że zapomnieli o śniadaniu i dopiero gdy zegar bić zaczął, Gastonek zatrzymał się i rachował:

— Już jedenasta! cIociu Eliano, zawołał.

— Jedenasta! rzekła Eliana. Wracajmy co prędzej. Będą cię tam szukać i połają nas.

— I ciebie także, cIociu Eliano?

— Tak, kochanie, bo to moja wina.

— Nie, nie, powiem że to moja.

Eliana ucałowała go za ten dowód przywiązania i pośpieszyli do pałacu.

Cała rodzina była już w salonie, jednakże nikt nie zwrócił na to uwagi że się spóźnili, gdyż odebrano złe wiadomości.

— Eliano, rzekła Bianka, odebraliśmy smutne listy z Erlon; jest także jeden do ciebie, przeczytaj prędko i powiedz nam co ci donoszą.

— Od siostry Serafiny! zawołała Eliana, czytając prędko... O mój Boże, biedna Rózia umarła!.. i wiele innych dzieci... tyfus grasuje na wsi!

To samo właśnie donosi rządca margrabinie, i ta wiadomość sprawiła na niej bardzo silne i przykre wrażenie. Pierwszy raz od początku jej choroby znać było w niej jakieś przygnębienie i znękanie.

Kochała mieszkańców Erlon, znała ich wszystkich, wspomagała ich, ratowała w chorobie i nie opuściła ich nawet gdy cholera wybuchła.

— A teraz rzekła smutnie, nie mogę nic dla nich uczynić, nic, nic jak tylko posłać pieniędzy! a wszak wiadomo że w takim razie pieniądze najmniej znaczą. Trzeba uspakajać tych ludzi, pocieszać, własnym przykładem dodawać odwagi. A! trudno nawet obliczyć ile złego może uczynić brak tej moralnej podpory!..

— A więc, zawołała Bianka, ja tam pojadę i zastąpię cię, droga mamo!

— Co za szaleństwo! rzekła Eliana, jakże mogłabyś odjechać od męża i dzieci!.. szczęściem Iwon nie pozwoli na to... Ale, mówiła dalej spokojnie, jest na to inny sposób, jeźli tylko stryjenka zechce mi zaufać i pozwoli pojechać do Erlon z panną Sylvestre, może być pewną że spełnię jak najwierniej wszystkie jej polecenia.

Margrabinie ten projekt podobał się widocznie, ale Bianka zawołała z żywością:

— Niebezpieczeństwo byłoby równem dla mnie czy dla ciebie, a więc i ty nie możesz narażać się, Eliano.

— Co do niebezpieczeństwa, odpowiedziała Eliana, to nie wierzę w nie tak dalece, jednak ponieważ raz na sto razy bywają wypadki że się ktoś zarazi, a więc kto ma męża i dzieci nie powinien narażać się na to. Ja, Bianko, jestem w zupełnie odmiennem położeniu; stare panny mają ten nader cenny przywilej że są zupełnie swobodne i nie potrzebują oglądać się na nikogo.

— Żadnej z was nie mogę przyznać słuszności, odezwał się Monléon; co do zamiarów Bianki stawiam najzupełniejsze veto, ale i ciebie Eliano proszę abyś nie narażała się bez potrzeby i odwołuje się w tem do pani de Liminges, która z pewnością podziela moje zdanie. — Zostańcie tu sobie spokojnie, a można dać nieograniczony kredyt czy to siostrze Serafinie, czy proboszczowi lub też rządcy, niech ci, na koszt margrabiny dostarczają co tylko może być potrzebnem w takim razie. Według mnie, żadna z was nie mogłaby tam zrobić nic więcej.

Margrabina nie odpowiedziała nic na to.

— Stryjenko, rzekła Eliana zwracając się do niej, wszak, gdyby zdrowie pozwalało ci na to, pojechałabyś tam niezwłocznie?

— Bezwątpienia.

— I bez wahania zabrałabyś mnie z sobą.

— Wyznaję że nie przyszłoby mi na myśl żeby cię tu zostawić.

— Byłam tego pewna, rzekła z uśmiechem Eliana. Dlaczego więc nie miałabym pojechać obecnie? wszak nie wątpisz, droga stryjenko, że wypełnię sumiennie wszystkie twe rozporzędzenia i będę się starała zastąpić cię, o ile to będzie w mej mocy.

Mówiąc to pochyliła się aby ucałować tę rękę która nie mogła już uścisnąć jej dłoni, ale margrabina położyła drugą rękę na jej głowie i rzekła po chwili milczenia.

— Masz słuszność, Eliano, jedź i niech Bóg czuwa nad tobą. Dziękuję ci i błogosławię cię, drogie moje dziecię.

XIII

Tegoż samego jeszcze dnia wieczorem, Eliana i panna Sylvestre wyjechały z Crecy, a nazajutrz rano były już w Erlon. Eliana przecierpiała tam tak wiele, że zawsze z pewnem uczuciem przykrości zbliżała się do tego miejsca przypominającego jej tyle słodkich i bolesnych wzruszeń. Ale teraz miała przed sobą tak ważne zajęcia, że myślała tylko o tem aby się z nich wywiązać sumiennie.

Zaraz od pierwszej chwili mogła sobie powinszować że przyjechała, bo sam jej widok uśmierzył znacznie obawę mieszkańców. Odwiedziła natychmiast z siostrą Serafiną wszystkich chorych, dodając im otuchy i zaopatrując we wszystko czego mogli potrzebować. Gdzie tylko weszła rozjaśniały się twarze, a jakkolwiek mówiła wszędzie że jest tylko posłanniczką margrabiny, było widocznem że uważano jej obecność za największe ze wszystkich dobrodziejstw.

Zaraz od pierwszej chwili zjawienia się epidemii, siostra Serafina wraz że swą towarzyszką siostrą Ludwiką, proboszcz i rządca czynili wszystko co było w ich mocy dla przecięcia złego i ratowania chorych, ale wszystko to było niedostatecznem i oczekiwali niecierpliwie na rozporządzenia margrabiny, gdy przybycie Eliany opatrzonej nieograniczonem upoważnieniem, zmieniło całkiem postać rzeczy. Co dzień gdy Eliana odwiedzała chorych na wsi, panna Sylvestre z siostrą Ludwiką czuwały nad dziećmi w ochronce, przyrządzały różne artykuły żywności, pamiętały o tem aby przychodzącym do zdrowia nie zabrakło nigdy gorącego rosołu i rozdawały wyborne wino przysłane przez Iwona. Następnie stosownie do woli margrabiny, sprowadzano dla biednych potrzebne ubranie i siostra Ludwika ułożyła listę rodzin dotkniętych chorobą, aby rozdając im wsparcia, uohronić je od szkodliwego w razie grasujących chorób niepokoju, ogarniającego biednych gdy są zmuszeni oderwać się od pracy dającej im utrzymanie.

Nakoniec powzięto różne środki dla zabezpieczenia zdrowych od grasującej choroby, a to wszystko przyczyniało się bardzo do uspokojenia ludności, gdy jednocześnie obecność Eliany dodawała otuchy nawet najbojaźliwszym. Wkrótce też zaszła szczęśliwa zmiana w usposobieniu umysłów, i oddziałała zbawiennie na ogólny stan zdrowia. W tydzień po swem przybyciu do Erlon, Eliana mogła już donieść stryjence, że od dwudziestu czterech godzin nikt nie zachorował i że według zdania doktora, epidemia już się zacznie zmiejszać.

Donosiła to właśnie margrabinie, gdy weszła siostra Serafina smutna i niespokojna. Wracała z najodleglejszego punktu parafii, od pewnego biedaka mieszkającego w miejscu ustronnem, daleko od wioski, a który pomimo to uległ panującej chorobie.

— Stan zdrowia tego biednego Binet nic się nie polepsza, rzekła i prewdopodobnie nie zdołamy go uratować. W tamtej stronie tyfus był jeszcze groźniejszym niż u nas... Zdaje się także iż po drugiej stronie rzeki, w wiosce Erlon du Gué, epidemia od dwóch dni przybrała przerażające rozmiary. Ci biedni ludzie nie posiadają tam tych wszystkich środków ratunku jakiemi tu rozporządzamy.

— W takim razie, zawołała z żywością Eliana, pośpieszmy im z pomocą. Skoro tu polepszenie jest tak widoczne, możemy im udzielić trochę naszych zapasów i pieniędzy.

— Chciałam to właśnie powiedzieć... tylko trzeba się pierwej porozumieć z panem Thenin. Słyszałam że pałacyk Erlon du Gué jest teraz zamieszkany, oraz że i tam także znajdują się chorzy.

— Zamieszkany?.. Erlon du Gué zamieszkany?. zapytała zdziwiona i wzruszona Eliana. Przez kogo?

Ten pałacyk który widziała tylko z daleka, łączył się w jej myśli tak ściśle ze wspomnieniem kuzyna, że nie mogła mówić o nim bez wzruszenia.

— Kto tam mieszka, nie wiem, bo tego właśnie nikt mi powiedzieć nie umiał. Niektórzy sądzą że to jacyś cudzoziemcy wynajęli go na lato... ale nadchodzi właśnie rządca który najlepiej potrafi nas objaśnić.

Ale Thenin, zwykle dość wielomówny, teraz gdy siostra Serafina zapytała o mieszkańców pałacyku, odpowiedział krótko że są to *osoby* którym pan margrabia pozwolił tam mieszkać przez dwa miesiące. Potem zaczął mówić o czem innem, niepodobna było dowiedzieć się od niego nic więcej.

Eliana nie wyrzekła ani słowa. Była wzruszona nie wiedząc sama z jakiego powodu, i nie śmiała zapytać się o to czego pragnęłaby się dowiedzieć. — Ta rozmowa toczyła się w szkółce, gdzie Eliana wstąpiła wracając od chorych, i oczekując na swą towarzyszkę napisała list do margrabiny.

— Jeźli skończyłaś już twe zajęcia, droga panno Sylvestre, to wychodźmy prędko, rzekła, niebo zachmurzyło się bardzo, zaledwie zdążymy wrócić do pałacu.

Zarzuciła na siebie okrycie, a dochodząc już do drzwi rzekła:

— Jeżeli sobie życzysz, siosto Serafino, to mogę dojść do Gué i przekonać się co się tam dzieje.

— Niepodobna, panno Eliano, zawołał rządca, droga pieszo, przez most zajęłaby cztery godziny, a powozem przeszło dwie.

— W takim razie może zechcesz mi pożyczyć swego powoziku, panie Themin?

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi rządcy, mówiła dalej:

— Albo też pojadę na Szamilu lub na Roksanie, w przeszłym roku jeździłam na obydwóch na przemian. Tomaszek pojedzie za mną, jestem pewna że droga tam i napowrót nie zajmie mi więcej nad trzy godziny.

— Tak, panno Eliano, rzekł Thenin, nie przeczę że jadąc konno można tam pojechać i wrócić w tym przeciągu czasu, a nawet prędzej jadąc przez bród. Ale zaklinam panią, nie jedź tam!.. Panno Sylvestre, nie pozwól na to. Tyfus po tamtej stronie rzeki gwałtowniejszy daleko niż u nas... niech się pani nie naraża!

Niespokojność rządcy, jego wahanie się między uszanowaniem dla Eliany a chęcią powstrzymania jej od tego zamiaru, nie uszły uwagi Eliany.

— Dobrze, panie Tenin, dziś wstrzymam się jeszcze, ale przyjdź do pałacu jutro rano, pomówimy wtenczas o tem.

Oddaliła się z panną Sylvestre. Zaczynało się już zmierzchać, deszcz kropił, a wiatr był tak silny że można było obawiać się burzy.

— Doprawdy, dziwna myśl przyszła ci, Eliano, skoro chciałaś udać się ztąd o cztery mile, gdy się zbiera na burzę.

— Odstąpiłam też na dziś od tego zamiaru, a jutro zobaczymy; odpowiedziała Eliana przyśpieszając kroku.

Była zmięszana, wzruszona jakiemś nieokreślonem dla niej samej przeczuciem. Szły prędko milcząc, gdy zbliżając się do pałacu usłyszały tentent konia i skoro w kilka minut później stanęły przed drzwiami, zawołały z zadziwieniem:

— Armand!

— Pan de Malseigne!

Dosyć było spojrzeć na zmienioną twarz Armanda, aby zrozumieć że jakieś ważne powody sprowadziły go do Erlon.

— Czy chcesz poświęcić mi chwilkę czasu, pan-

no Eliano? rzekł natychmiast, potrzebuję pomówić z tobą niezwłocznie.

— Ale pan zostanie u nas na na obiedzie, rzekła panna Sylvestre.

— Wątpię, muszę się śpieszyć.

Eliana otworzyła tymczasem drzwi do pokoju w którym teraz najczęściej przebywała ze swą towarzyszką, i gdy tam już weszli, czekała nie zadając mu pytań, na to co jej powie.

— Może wiadomo ci już, że pałacyk za rzeką jest obecnie zamieszkany.

— Dowiedziałam się o tem przed chwilą.

— Czy powiedziano pani także kto go zajmuje?

— Nie, tego nie wiem.

— Mam to powiedzieć właśnie, a zarazem uwiadomić czego spodziewam się, licząc na twą szlachetność, na twą odwagę, słowem na ciebie.

— Mów pan prędko.

— Osoba tam mieszkająca i obecnie chora, prawie konająca, jest to młoda margrabina de Limenges... żona Raynolda!

Eliana zbladła jak chusta, a oczy jej otworzyły się szeroko, wsparła się ręką o stół nie zdolna wymówić ani słowa.

— Eliano! zawołał przerażony Malseigne, przebacz jeźli zanadto rachowałem na twoje siły. Zdawało mi się że nie ma na świecie nic takiego, czego nie byłabyś zdolną uczynić.. Jest to jedyna moja wymówka.

— Nie potrzebujesz pan żadnej, już ochłonęłam... ale w pierwszej chwili ta wiadomość tak silne sprawiła na mnie wrażenie, tak mnie zadziwiła.. a jednak dodała po chwili, zdaje mi się że to przeczuwałam.

Przesunęła rękę po czole i spojrzała na Armanda. Spojrzenie jej odzyskało ten wyraz czystości, słodyczy i siły, tak dobrze malujący jej duszę i który czynił jej oczy tak zachwycająco pięknemi. Armand odwrócił swoje i zapomniał na chwilę co miał powiedzieć.

Mów pan dalej, rzekla, bo domyślam się że nie ma czasu do stracenia.

Armand zapanował wkrótce nad sobą i uwiadomił Elianę że kuzyn jej wrócił do Francyi, lecz wkrótce znów wyjechał, a na czas swej nieobecności umieścił zonę w pałacyku nad rzeką, i że on, stosownie do życzenia Raynolda, odwiedzał ją tam co tydzień.

Z początku wszystko szło dobrze, polubiła to miejsce w którem wszystko było dla niej nowem, i nawet posępny jej smutek z powodu śmierci dziecka zmniejszał się stopniowo, gdy tydzień temu została dotkniętą grasującą tu gorączką. Jednak dzięki staraniom doktora i sprowadzonej natychmiast z Paryża siostry miłosierdzia, choroba jej nie przybierała groźnych objawów. Nieszczęściem, stara jej mamka nie opuszczająca jej ani na chwilę, zachorowała także i zeszłej nocy zakończyła życie. Bolesny ten wypadek którego niepodobna było ukryć przed chorą, tak pogorszył stan jej zdrowia że obawiano się o jej życie. Zacna siostra miłosierdzia, której dar spostrzegawczy odnosił się nie tylko do stanu zdrowia ale i do stanu duszy, oświadczyła Armandowi, że obecnie najskuteczniejszem dla chorej lekarstwem byłaby obecność osoby równie przychylnej i troskliwej jak ta którą straciła, a umiejącej ją zająć i rozerwać.

— Wtenczas to, mówił dalej Armand, przyszła mi myśl dziwna, prawie szalona; dowiedziałem się że jesteś w Erlon. Thenin, jak wiesz, bardzo przywiązany do Raynolda i uwiadomiony przez niego o wszystkiem, mówił mi wczoraj o twej odwadze, o twej dziwnej władzy nad chorymi, o cudach zdziałanych przez samą tylko obecność twoją...

— Rozumiem, rzekła Eliana wstając. Nie mów mi pan teraz nic więcej, bo widzę że trzeba się śpieszyć. Sądzę że Thenin pożyczy nam chętnie swego powoziku, skoro pan żądasz tego... Ale może lepiej... Ile potrzebowałeś pan czasu aby tu przyjechać konno?

— Zaledwie trzy kwadranse, ponieważ jechałem przez bród.

— Więc i ja mogę jechać tąż samą drogą, a tym sposobem będziemy tam bez porównania prędzej.

Zadzwoniła i kazała osiodłać Szamila.

— Teraz potrzebuję się przebrać i uwiadomić pannę Sylvestre że będę jej nieposłuszną, co mi zajmie kwadrans czasu.

Trudno byłoby opisać zdumienie, a nawet przerażenie biednej panny Sylvestre, gdy usłyszała nazwisko chorej i dowiedziała się o zamiarze Eliany.

— Ty, ty Eliano, chcesz jechać do tej!..

— Chcę jechać do margrabiny de Liminges, chorej niebezpiecznie, zdaje mi się że nie ma w tem nic dziwnego.

Ta odpowiedź zamiast uspokoić, rodrażniła jeszcze więcej pannę Sylvestre.

— Nie, Eliano, zawołała zalewając się łzami, nigdy, nigdy nie przypuszczałam abyś mogła ją tak nazywać...

— Żonę mego kuzyna Raynolda?.. A więc powiedz mi jakie nazwisko mam jej nadać?..

Ale i ta odpowiedź nie zdołała uspokoić biednej Sylvestre, która narzekała ciągle załamując ręcę.

— Co na to powie moja ukochana margrabina?.. Jak się przed nią wytłómaczę?.. Po co zgodziłam się na to aby towarzyszyć osobie zdolnej popełnić takie szaleństwo!.. Ah! po co ja tu przyjechałam!

Jednak wszystkie te i tym podobne wykrzykniki nie odwiodły Eliany od raz powziętego zamiaru, tylko gdy zastanowiła się lepiej, uznała że osobista pomoc towarzyszki może jej być bardzo użyteczną.

Usiadła przy niej, ucałowała ją, a następnie zaczęła przekładać spokojnie, że tu idzie o osobę chorą, może umierającą... Odwołała się do jej serca, do jej chrześcijańskiego miłosierdzia, do jej przywiązania, do nazwiska którego niepodobna było odmówić tej która potrzebowała jej opieki i nakoniec dokazała tego że panna Sylvestre zaczęła słuchać jej spokojnie, a następnie nawet uważnie, gdy zrozumiała że nie będzie tylko bezczynnym świadkiem tego, czemu zapobiedz nie mogła.

Rzeczywiście, przyszło na myśl Elianie, że dla niej samej będzie to lepiej jeźli panna Sylvestre pojedzie także do Erlon du Gué, choć trochę później, gdy teraz nie może jej towarzyszyć, gdyż z pewnością będzie zmuszona pozostać tam na noc, a może i dłużej. Panna Sylvestre ze swei strony, widząc że nie zdoła zmienić postanowienia Eliany, zrozumiała że nie pozostaje jej nic więcej jak tylko dopomagać jej o ile będzie mogła. Słowem umówiły się że Eliana pojedzie z panem de Malseigne konno i krótszą drogą, panna Sylvestre pośpieszy za nią powozem i przywiezie jej trochę rzeczy.

— Naradzimy się jeszcze na miejscu, droga panno Sylvestre, co nam dalej czynić wypadnie. Tu nieobecność nasza nie zadziwi nikogo, skoro już wiadomo że po drugiej stronie rzeki zachorowało kilka osób, a Thenin zpewnością nas nie zdradzi.

W ciągu tej rozmowy Eliana ubrała się w amazonkę i paltocik w którego kieszenie panna Sylvestre włożyła flaszeczki z octem i wódką. Bez tych dwóch rzeczy nie puszczała ją nigdy do chorych.

Wszystko trwało zaledwie dwadzieścia pięć minut. Przyprowadzono konie i Eliana chciała natychmiast odjechać z Armandem, gdy panna Sylvestre oparła się temu chcąc aby przedtem posilili się trochę, na co Malseigne zgodził się także przez troskliwość o Elianę.

Jednak w godzinę po jego przybyciu do pałacu, znajdowali się już w drodze do Erlon du Gué. Jechali prędko i byli zbyt zajęci myślami które budziło w nich niezwykłe ich położenie, aby mogli zwracać uwagę na deszcz powiększający się ciągle, tem więcej że cała droga była wysadzona wielkiemi drzewami, tworzącemi sklepienie nad ich głowami. Wtenczas dopiero spostrzegli że pada deszcz ulewny połączony z gwałtownym wiatrem, gdy wyjechali z parku i znaleźli się na odkrytej drodze do rzeki. Zatrzymali się chwilę.

— Jeźli deszcz nie ustanie, rzekł Armand, za pół godziny nie będzie już można przejechać przez bród.

— Bardzo to być może, odpowiedziała Eliana, dlatego też trzeba się śpieszyć.

Pojechali dalej w milczeniu, pochylając głowę przed deszczem i wiatrem chłoszczącym ich po twarzy. Po paru minutach Armand zawołał:

— Zatrzymaj się, panno Eliano, nie mogę pozwolić abyś dłużej narażała się na taką burzę.

— Starajmy się tylko dojechać do brodu, odpowiedziała nie zatrzymując się wcale, i jedźmy jak można najprędzej.

Ale wieczór był ciemny i trudno było jechać prędko; światło księżyca zaledwie niekiedy przeciskało się trochę przez chmury i rzucało słabe, niepewne światło. Szczęściem znali dobrze drogę, byli pewni swych koni i umieli niemi kierować.

Stanęli nakoniec nad brodem, ale zaraz za pierwszym rzutem oka musieli uznać że już zapóźno. Woda tocząca się z szumem, pokryła całkiem kamienie odznaczające miejsce możliwe do przebycia. Gdyby wjechali w rzekę, fala poniosłaby ich niżej, gdzie brzegi były tak strome że konie nie mogłyby wyjść na ląd.

Stali czas jakiś w milczeniu. Z miejsca na którem się zatrzymali widać już było światło w pałacyku, byliby tam za kwadrans, gdyby tylko było można przejechać na drugą stronę... Wracać do pałacu i następnie jechać powozem bezporównania dłuższą drogą, iloż to zajmie czasu!.. Jednak Armand odezwał się stanowczym głosem.

— Musisz się wrócić, panno Eliano; przykro mi bardzo że nie mogę ci towarzyszyć, ale wolę już abyś wracała sama znaną ci drogą, niżeli...

— A pan, co zamierzasz czynić dalej?

— Wprowadzę konia w rzekę o jakie sto kroków wyżej i przepłynę ją wskos do przeciwnej strony brodu, jako do jedynego miejsca w którem tam jest brzeg płaski. Mogę zaufać memu koniowi.

— Dlaczegóż więc ja miałabym się wracać? Jestem także pewną mego konia i zaręczam że pojdzie posłusznie za twoim.

(*D. c. n*).



N. 3. Kapelusz z fałdowaną główką.

Opis do N. 11.

(Dokończenie.)

N 18—19. Dwie bluzki dziecinne.

N. 18. Sukienka ozdobiona pletnią wełnianą.

Odrobiona była z szafirowego wełnianego materyału ze szlakiem fabrycznie tkanym wzdłuż brzegu, któren użyty był na spódniczkę 22 cent. długą, a 168 cent. obwodu mającą, w koło zaplisowaną. Bluzkę robi się na gładkiej podszewce z szyrtyngu krając zwierzchni materyał trochę szerzej, i spuszczając u dołu 6 cent. dłużej za podszewkę. Kołnierz i mankiety zdobi pletnia jaśniejsza wełniana $2^1/_4$ cent. szeroka, kilka razy przestębnowana. Do zapięcia z przodu służą płaskie guziczki z konchy perłowej.

N. 19. Sukienka z podwójną spódniczką.



N. 1. Kapotka wyszyta złotem. Patrz ryc. 2.

N. 21. Suknia z fałdowaną spódnicą.

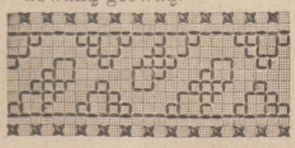
Spódnica z atłasu albo „faille“, bez żadnego garnirunku, jest z przodu gładka, z boków w cztery duże fałdy a z tyłu w szeroką potrójną kontrafałdę złożona. Stanik aksamitny z bawetem, zapięty na małe metalowe guziczki, zdobi kołnierz i mankiety z prawdziwej koronki „duchesse“; takaż koronka pokrywa wązki, stojący kołnierzyk.

N. 22. Suknia z tuniką spódniczkową.

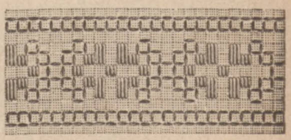
Do spódnicy wkoło plisowanej, zrobionej z materyału wełnianego w pasy jedwabne dodany był stanik i tunika spódniczkowa z gładkiego kaszmiru; ta ostatnia składa się z brytów prostych, w górze wkoło przyfałdowanych i w pasek wszytych, z jednego boku klamrą podpięta, a z tyłu zapomocą od spodu przyszytych tasiemek udrapowana. Stanik ma z przodu potrójny bawet a z tyłu fałdowaną baskinę. Kołnierz i mankiety plisowane, z materyału w pasy.



N. 2. Kapotka wyszyta złotem. Patrz ryc. 1.

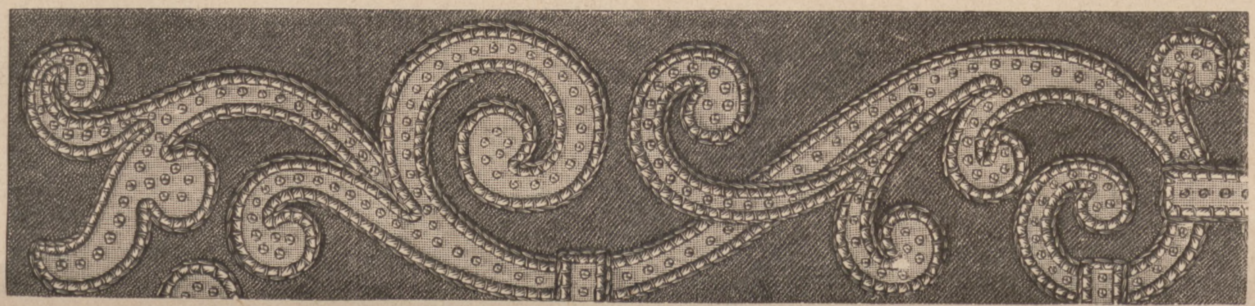


N. 4. Szlaczek.



N. 5. Szlaczek.

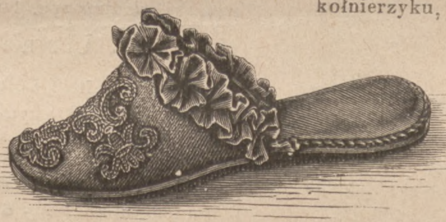
Bardzo ładny model sukienki miał spódniczkę 20 cent. długą, fałdowaną, złożoną z dwóch części, z których dolna, od spodu podszyta, była z materyału w kratę, a zwierzchnia z gładkiego. Przyszycie spódniczki do luźnej bluzki, na środku pleców i z przodu przy zapięciu w drobne zakładki zaszytej, przykrywa pasek przewleczony przez patki z tego co sukienka matreyału. Kołnierzyk i mankiety z koronki 8 cent. szerokiej.



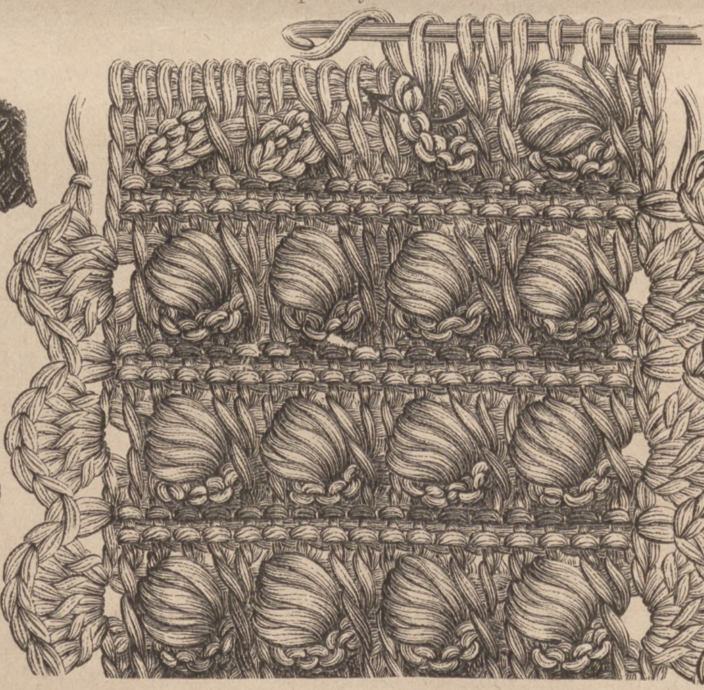
N. 6. Aplikacya do r. 7 w N-rze 11.



N. 7. Przepięcie do firanki.



N. 8. Pantofel haftowany złotem. Patrz ryc. 31.



N. 11. Pas szydełkowy do kołderki ryc. 12.



N. 9. Negliżyk muślinowy z koronką i wstążką. Patrz ryc. 10.



N. 10. Negliżyk muślinowy z koronką i wstążką. Patrz r. 9.

N .20. Suknia balowa z draperyą skośną.

Przy sukni z tiulu różowego i gazy różowej, szerokie wolanty układane w duże kontrafałdy naszyte są dwa razy wstążką w atłasie a przedzielone wązką falbanką gazową drobno plisowaną. Tak samo sfałdowana i oszyta jest skośnie dana fartuszkowa tunika, między boczne szwy spódnicy wpuszczona, nad którą upięta jest skośna draperya szalowa z gazy, z jednej strony wachlarzowo zakończona i przepięta kwiatem, z drugiej skośnie do tyłu przeprowadzona i tam w sute bufy upięta. Stanik z różowego atłasu zdobi berta ułożona z tiulu, koronki i ruloniku atłasowego, z przodu w ząb przedłużona. Krótkie atłasowe rękawki pokryte bufą tiulową i ozdobione gałązką kwiatów.

N. 23. Suknia ozdobiona wyszyciem z sutaszu.

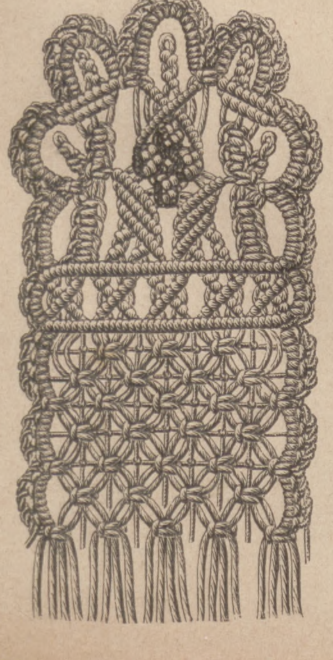
Model odrobiony był z ciemno popielatego sukienka i ozdobiony sutaszem takiegoż koloru, któren na szerokim plisowanym wolancie i na draperyi spódnicy naszyty był w kilka rzędów prostych, a przy baskinie stanika, na mankietach i stojącym kołnierzyku, układany był gęsto w pentelki, które od środka przodu w dwie strony naszyte, służyły zarazem do zapięcia stanika z boku na małe guziczki. Tunikę fartuszkową dopełnia z tyłu suta draperya z dwóch prostych brytów. Do przodów i boczków stanika dodaje się oddzielną baskinę, która tylko przy plecach jest razem krajana i w sutą kontrafałdę złożona.

N. 24 i ryc. 4 i 5 w N. 12. Szlaki do haftu krzyżykowego, gobelinowego i ściegiem pojedyńczym na dwie strony; które wyszywać można jednym lub paru kolorami, na bieliznie, serwetkach lub fartuszkach dziecinych.

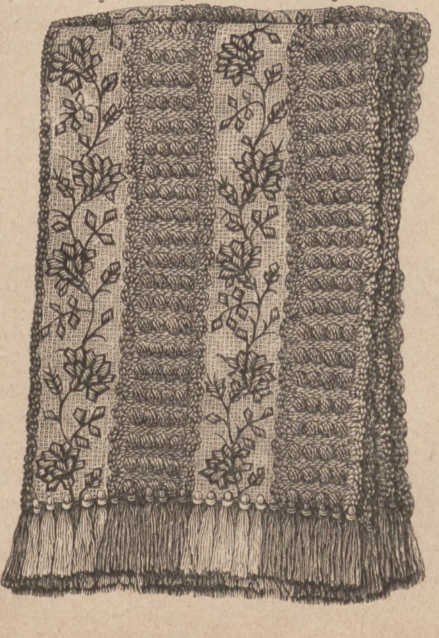
Opis do N. 12.

N. 1—2. Kapotka wyszyta złotem.

Odpowiednia na koncert do teatru, lub do przejazdu powozem, odrobiona jest z białego pluszu i wyszyta pletnią złotą, w około główki pokrytej



N. 13. Część zakładki robotą wiązaną (macramé). Patrz r. 11, w N-rze 11.



N. 12. Kołderka z pasów szydełkowych i kanwowych. Patrz r. 11.



N. 14. Sakiewka robotą wiązaną.



N. 15. Sukienka z bluzkowem vêtement.

N. 16. Sukieneczka fałdowana.

gładko. Rondko z przodu 9 cent. szerokie, pokryte fałdowanym pluszem, ułożonym w ten sposób, iż tworzy rodzaj riuszy zwróconej do twarzy; od spodu pod odstająco wygiętem rondem dane podszycie z pletni naszytej rzędami, płasko jedna za drugą. Pióra stanowiące przybranie zwierzchnie i końce do wiązania są koloru vieil-or.

N. 3. Kapotka z fałdowaną główką.

Rondo z przodu 8 cent. szerokie, ma formę daszka, z tyłu zaś wygięte jest odstająco, dla pomieszczenia bukietu z małych słoneczników i liści; od spodu podszyte jest gładko aksamitem czarnym, z wierzchu zaś pokryte tiulem haftowanym perełkami i sznelą. Do rondka dodaje się główka z ciężkiej czarnej materyi, złożona w trzy bufiaste kontrafałdy; na przyszyciu główki dana czarna repsowa wstążka, z boków przewleczona pod spód rondka i spuszczona w dwa końce do wiązania kapotki. Z lewej strony pęczek krótkich żółtych piórek.

N. 9—10. Negliżyk muślinowy z koronką i wstążką.

Ryc. 9 i 10 przedstawiają z przodu i z tyłu oryginalny negliżyk z kolorowego muślinu, odpowiedniej wstążki repsowej 3 c. szerokiej i koronki 6 c. szerokiej. Podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu w środku 6 c. szeroki, przy tylnym brzegu 28, przy zaokrąglonym przednim 36 c. długi, oszyty z przodu koronką, przepinaną puklami z wstążki. Denko ułożone jest podług r. 9, z kawałka skośnego muślinu, 100 c. długiego, 13 szerokiego, przy końcach zaokrąglonego do 7 c., w około oszytego koronką, który po sfałdowaniu ściśłem z jednego boku, przytwierdza się na wierzchu podstawy i rozkłada wachlarzowo. Na przyszyciu dana rozeta z koronki, przypięta kokardą z wstążki, podług ryc. 10.



N. 22. Suknia zdobna haftem. Patrz r. 29 tudzież r. 12, w N-rze 11.

N. 15—18. Ubrania dla dzieci.

N. 15. Sukienka z bluzkowem vêtement, dla dziewczynki lat 7—9.

Odrobiona z cienkiego wełnianego materyału, ma spódniczkę plisowaną w fałdy 6 c. szerokie. Vêtement ma dodany kwadratowy karczek marszczony w drobne bufki na gładkiej podszewce; plecy i przody założone są w fałdy, po 4 c. szerokie, które puszczone są wolno 15 c. poniżej paska. Dolny brzeg vêtement przez podpięcie z boków zebrany jest w poprzeczne fałdy. Pasek atłasowy spięty długą kokardą.



N. 24. Ubranie balowe. Patrz ryc. 23.

N. 16. Sukieneczka fałdowana, dla dziewczynki lat 3—5.

Materyał w kratę szafirową z białem i ponsową prążką przybrany jest granatowym aksamitem. Długi stanik uszyty na gładko dopasowanej podszewce, ma przody i plecy założone w fałdki, wolno puszczone u dołu i podłożone w bufę 8 c. szeroką. Na przyszyciu fałdowanej spódniczki; naszytej plisą aksamitną 5 c. szeroką, dane są z boków klapki aksamitne, po 32 c. długie, przytrzymane na końcach guzikami metalowemi. Kołnierz wykładany i mankiety 6 cent. szerokie są z aksamitu.

N. 17. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5.

Wiosenna spacerowa sukienka, odrobiona z ciemno zielonego aksamitu na flanelowej podszewce, obłożona popielatym barankiem krymskim. Przody zupełnie gładkie zapięte na guziki, przykryte 10 cent. szerokiem obłożeniem; plecy założone w cztery fałdy po 2 i pół c. szerokie. U dołu dana plisowana spódniczka 20 c. długa, ułożona z kawałka 230 c. długiego podszytego żagnotem. Pasek 4 i pół c. szeroki spięty klamerką. Rękawy obłożone barankiem na 8 c. szerokości; kołnierz wykładany.



N. 19. Suknia z krótkim stanikiem.

N. 20. Suknia z aksamitnym stanikiem.

N. 21. Suknia z pelerynką koronkową.



N. 25. Suknia z draperyą tiulową.

N. 26. Suknia z frakowym stanikiem.

N. 18. Ubranie spacerowe dla dziewczynki lat 7—9.

Płaszczyk z lekko wciętemi przodami, zapiętemi na dwa rzędy, ma plecy krajane bardzo szeroko i przymarszczone na wcięciu stanu do 10 cent., poniżej zaś pod kokardą fałdujące się dowolnie. Pelerynka wszyta w wykrój szyi wraz z kołnierzem. Płaszczyk odrobiony z ciepłego jasno piaskowego sukienka miał kołnierz, kieszonki, mankiety, kokardę i plisę przy pelerynce 8 c. szeroką z ciemno wiśniowego aksamitu. Kapotka marszczona z piaskowej materyi surah.

N. 19—26. Ubrania wizytowe i wieczorowe.

N. 19. Suknia z krótkim stanikiem.

Odrobiona z cienkiego wełnianego meteryału, ma spódnicę zakończoną szerokim wolantem, przysłoniętą tuniką układaną w kontrafałdy rozszerzające się stopniowo do tyłu. Krótki stanik przyciśnięty paskiem aksamitnym, ma odpowiednio do tuniki dodane fałdowane przybranie, z przodu krzyżujące się nakształt chusteczki. Mankiety gładkie aksamitne, 10 cent. szerokie.



N. 23. Stanik do sukni balowej ryc. 24.



N. 17. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5.

N. 18. Ubranie spacerowe dla dziewczynki lat 7—9.

N. 20. Suknia z aksamitnym stanikiem.

Spódnica z materyi surah zielonego koloru, przybrana marszczonemi falbankami; tunika krajana z przodu w jednym ciągu z kamizelką, jest z miękkiego wełnianego materyału (crêpe Virginie) blado zielonego, w ciemny rzucik. Ciemno zielony, aksamitny stanik szeroko rozchodzący się z przodu, zapięty jest oryginalnie czterema patkami.

N. 21. Suknia z pelerynką koronkową.

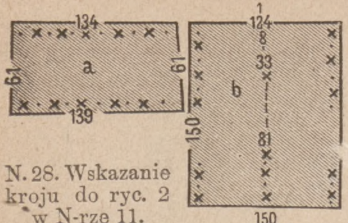
Pelerynka ułożona jest z pięknego wolantu, haftowanego, jedwabiem na tle gazowem, 20 c. szerokiego a 165 długiego. Środek wolantu marszczy się i wszywa w pasek ponsowy aksamitny, 3 c. szeroki, stanowiący kołnierzk stojący, przysłonięty koronką 2 i pół cent. szeroką. Końce przednie zostawione gładko na 30 c. wzdłuż, ułożone są z przodu w rodzaj żabotu sfałdowanego wachlarzowo.

N. 22 i 29. Suknia zdobna haftem. Patrz r. 12 w N. 11.

Wspaniałe to ubranie wieczorowe z blado różowej materyi faille, przedstawia się bardzo efektownie dla haftu ze szneli rubinowego koloru, danego na bocznych klinach spódnicy i na staniku, który z przodu przedłużony jest w szpiczasty bawet, a plecy ma u dołu wycięte w trzy zęby; brzegi baskiny obejmuje podwójna wypustka. Kwadratowy wykrój stanika i krótkie rękawki otacza haft i suta podwójna riusza koronkowa. Przód sukni u dołu ma wolant aksamitny, rubinowego koloru, 10 c. szeroki i tejże szerokości drugi wolant jedwabny; wyżej zaś na całym przodzie dany wspaniały deseń sznelowy. W N. 11 na r. 12 dajemy inny układ spódnicy z upięciem à panier, odpowiedni do stanika jaki widzimy na r. 22; przy niem na gładkim, 30 c. szerokim brycie przednim można także dać haft sznelowy; boki sukni są w całej



N. 27. Ubranie do srebrnego wesela.

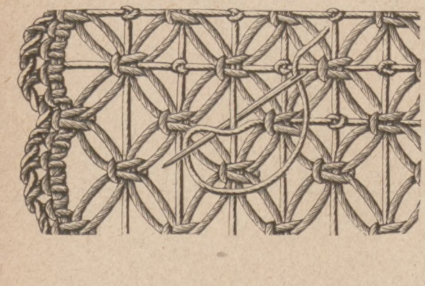


N. 28. Wskazanie kroju do ryc. 2 w N-rze 11.

długości zaplisowane w fałdy, na które trzeba brytów 110 c. szerokich. Ryc. 29 w dzisiejszym N-rze daje wymiar tylnego, podpiętego bryta (litera b) i część panier (litera a) z boków podpiętego pa‹s›ką aksamitną 8 cent. szeroką.

N. 23—24. Ubranie balowe.

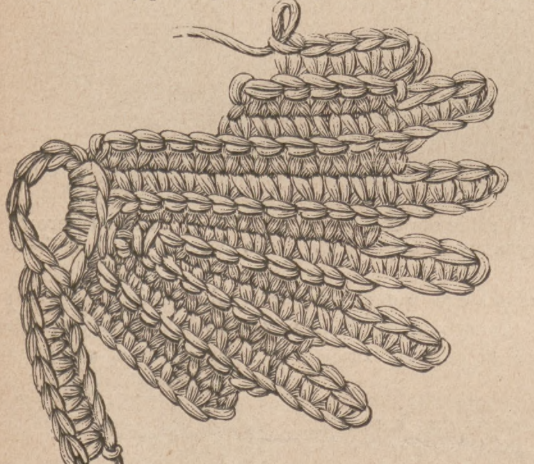
Na tren zaokrąglony u dołu do 50 c. srodkowej długości, potrzeba dwóch brytów, 125 c. szerokich, podpiętych w górze podług r. 24; pod brzegiem trenu podszyta falbanka, składana w kontrafałdy, 6 c. szeroka. Przód i boki sukni przysłaniają dwie koronkowe falbany po 35 cent. szerokie, przedzielone bufami jedwabnemi, po 6 cent. szerokiemi; z pod dolnej bufy wysuwa się skośna falbana. Na bufę potrzeba skośnych kawałków materyi 16, 23 i 26 c. szerokich. Stanik bawetowy z krótkiemi rękawkami, pod szyją wycięty kwadratowo i ogarnirowany koronką 8 c. szeroką. Suknia ta z blado zielonej jedwabnej popeliny, zdobna hiszpańską koronką żółtawego odcieniu; kokardy atłasowe.



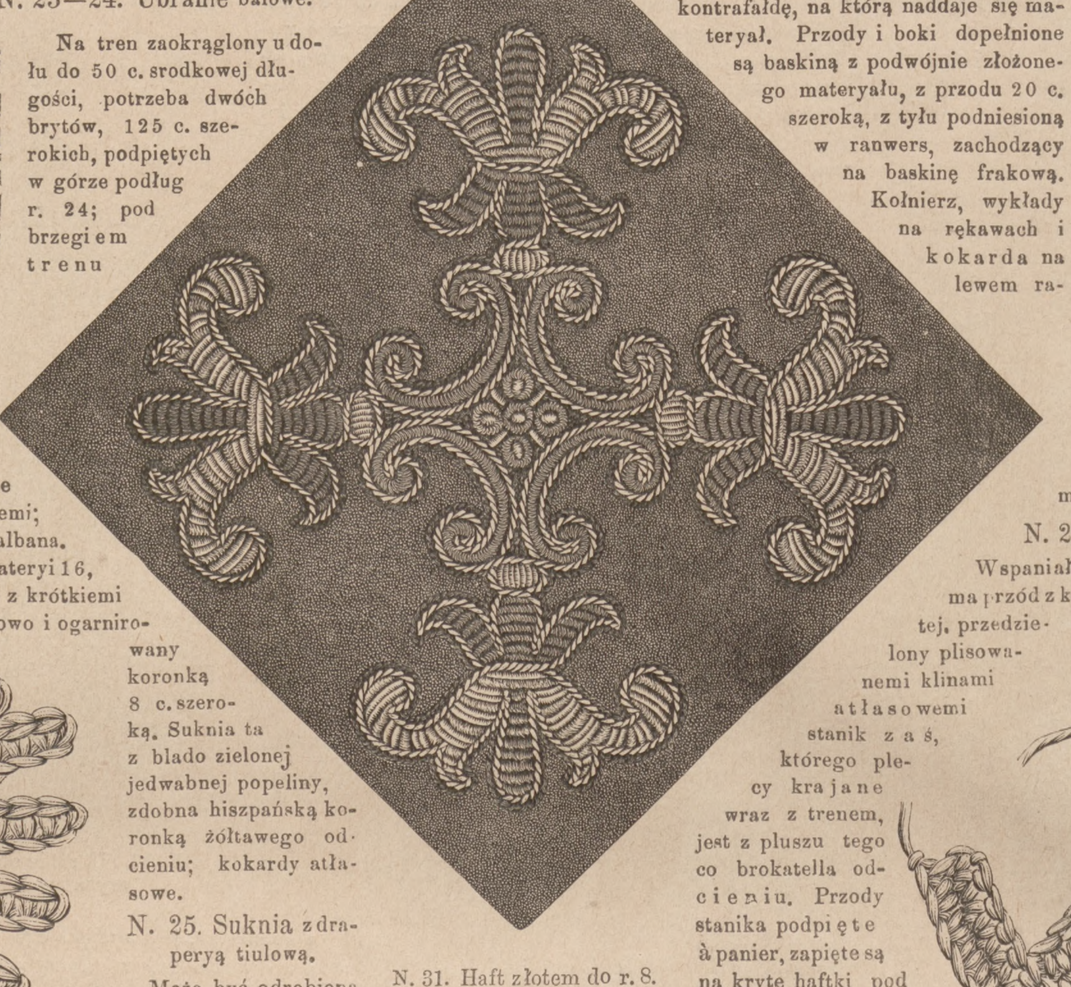
N. 30. Wiązanie nitki złotej do ryc. 13. Patrz r. 11 w N-rze 11.

N. 25. Suknia z draperyą tiulową.

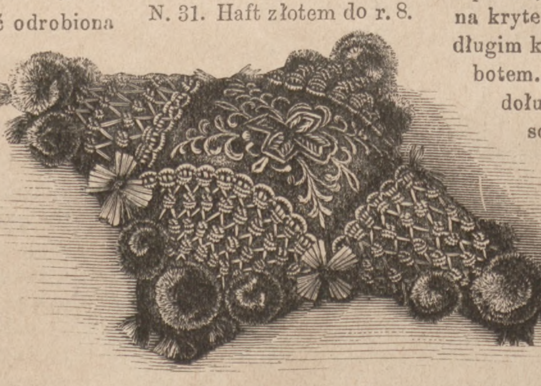
Może być odrobiona z ciężkiego jedwabnego repsu, z materyi surah lub z satin merweilleux; spódnica zakończona wolantem przestębnowanym przez połowę w zakładki. Draperyę podpiętą kokardami z szerokiej wstążki, stanowi szalik tiulowy, 110 c. szeroki, w około zakończony szerokim haftem. Brzeg stanika pod szyją wyciętego kwadratowo, zdobi falkanka 7 cent. szeroka.



N. 34. Wykonanie półkola do ryc. 36.



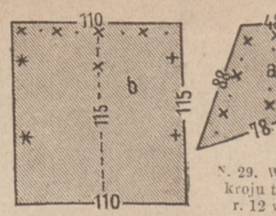
N. 31. Haft złotem do r. 8.



N. 32. Poduszeczka do szpilek.

N. 26. Suknia z frakowym stanikiem.

Odrobiona z gładkiego wełnianego materyału, ma długi stanik frakowy, krajany w ten sposób iż plecy w środku i z boków założone są w głęboką pod spód podchodzącą kontrafałdę, na którą naddaje się materyał. Przody i boki dopełnione są baskiną z podwójnie złożonego materyału, z przodu 20 c. szeroką, z tyłu podniesioną w ranwers, zachodzący na baskinę frakową. Kołnierz, wykłady na rękawach i kokarda na lewem ramieniu dane z aksamitu lub materyi.



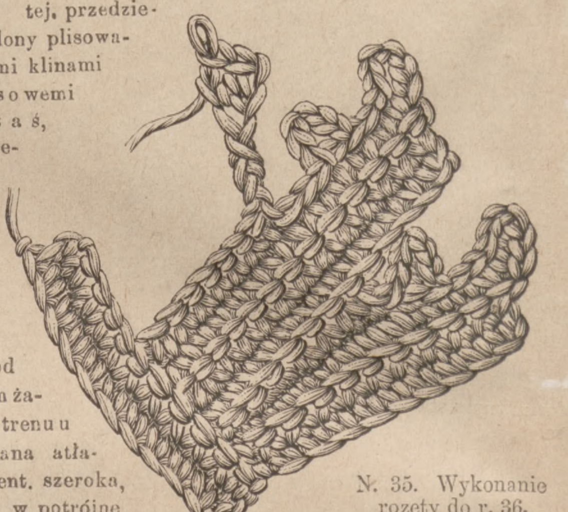
N. 29. Wskazanie kroju tuniki do r. 12 w N. 11.



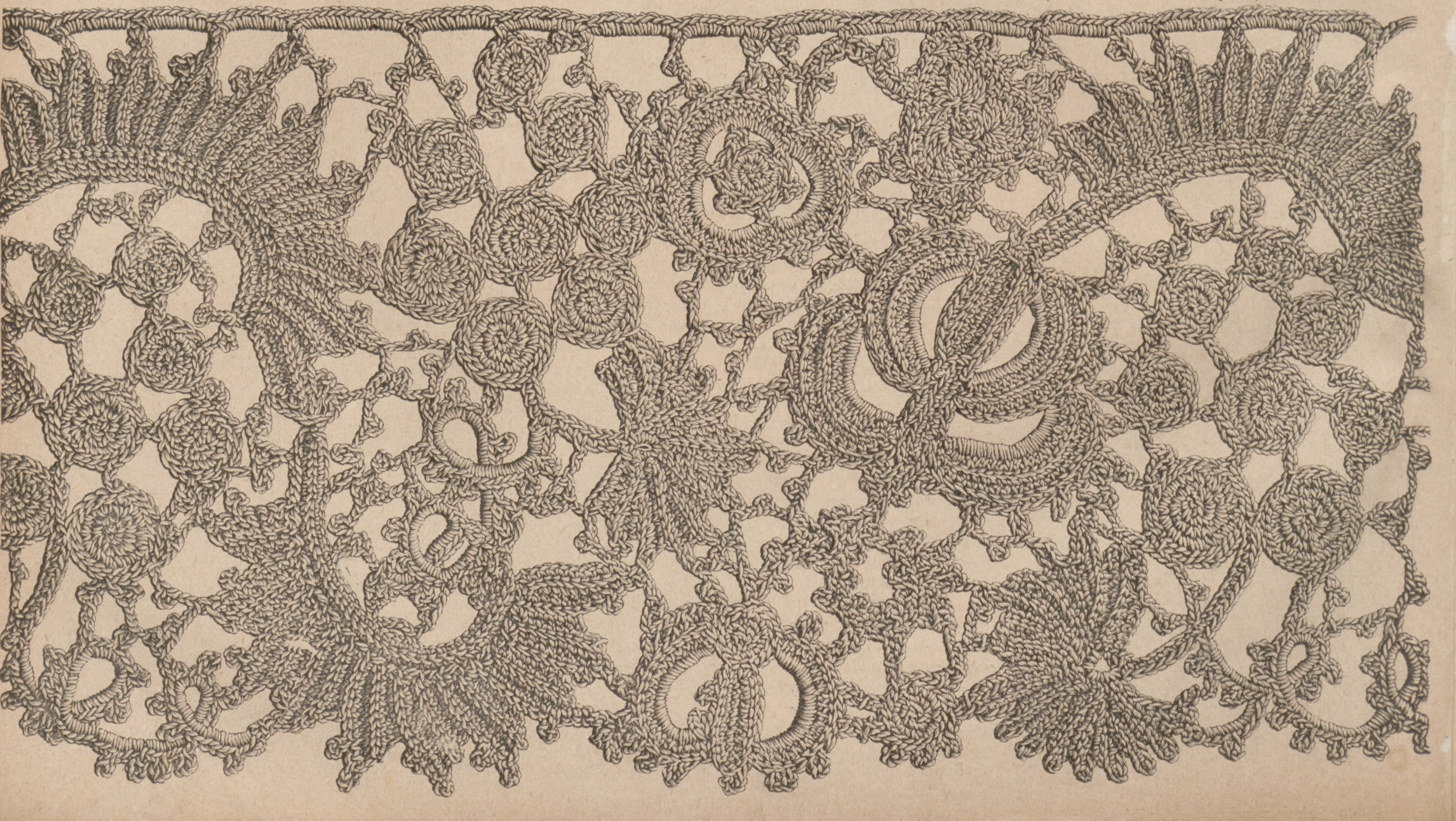
N. 33. Wykonanie listka do r. 36.

N. 27. Ubranie do srebrnego wesela.

Wspaniała suknia przedstawiona na ryc. 27, ma przód z kosztownej brokatelli srebrno popielatej, przedzielony plisowanemi klinami atłasowemi stanik zaś, którego plecy krajane wraz z trenem, jest z pluszu tego co brokatella odcieniu. Przody stanika podpięte à panier, zapięte są na kryte haftki pod długim koronkowym żabotem. W około trenu u dołu dana falbana atłasowa, 15 cent. szeroka, składana w potrójne kontrafałdy. Fantazyjnie upięty welon, składa się z kwadratowego, 114 c. długiego brukselskiego tiulu, zakończonego z dwóch brzegów szlakiem 8 c., z dwóch drugich 16 c. szerokim. Upięcie welonu ułatwia r. 27; jeden róg zakończony węższym szlakiem, zwróconym na czoło, przypięty jest srebrnym djademem; drugi róg zachodzi pod szyję i przytrzymany jest bukietem srebrnych kwiatów; dwie strony z szerokim haftem spadają na tren sukni.



N. 35. Wykonanie rozety do r. 36.



N. 36. Koronka gipiurowa robiona szydełkiem. Patrz ryc. 33—35.



Pl. 530.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.